Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI Niedziela, dnia 20 listopada 1938 r. Nr. 47



PIEŚŃ SMĘTNO-JESIENNĄ
TREMBITA MAŁY GRA

9)

Hollywood

POWIEŚĆ

— Diabeł osiedlił się w Hollywood — szeptano trwożnie. — Nie wyjdzie to na dobre... nie wyjdzie na dobre...

Istotnie nie wyszło to na dobre. Komedianci zawładnęli miastem i młodzież, zwabiona blaskiem, zaczęła się gromadzić przy nich i szukać u nich pracy. Komediantom potrzebni byli statyści, przyjmowali więc coraz więcej ludzi. Wielu porzuciło swoją pracę zawodową. Wokoło „studiów" wyrosły, jak grzyby po deszczu, szynki i bary. Zaczęły krążyć wersje po mieście o tym, jakie skandale dzieją się w domach pijanych komediantów.

Starzy farmerzy starali się walczyć. Przez długi czas ignorowano komediantów, nie przyjmowano ich w towarzystwie i nazwiska ich nie figurowały wśród wzmianek w rubryce „z kroniki towarzyskiej". Ale czas zrobił swoje i komedianci zwyciężyli. Od tej chwili Hollywood stał się głośnym miastem, stolicą filmu i miastem „gwiazd" filmowych. I na tej ziemi, którą stworzył bogobojny Henryk Wilcox, wyrosły jak grzyby po deszczu, dancingi, bary i variétés, z dala lśniące tysiącami różnokolorowych ogni.

Ale starzy farmerzy pocieszali się myślą, że wcześniej czy później nowoczesną Sodomę i Gomorę musi spotkać zasłużona kara.

Trzydzieści lat temu miasta Los Angeles i Hollywood ukradły mieszkańcom doliny Owen wodę i przy pomocy zbudowanych w tym celu kanałów, odprowadziły ją w dół do swojej wyschniętej, pozbawionej wody, niziny. Wszystko to naturalnie zrobione było według litery prawa. Na próżno mieszkańcy doliny Owen protestowali, na próżno wysłali delegację do Los Angeles, która błagała o niepozbawianie farmerów wody, bez której obejść się nie mogą. Nikt nie chciał ich wysłuchać. Zbudowano wielki kanał, który kosztował przeszło 25 milionów dolarów i w bezwodnej dolinie San Fernando około Hollywoodu urządzono olbrzymi rezerwoar, do którego wlewała się woda z kanału. Tymczasem dolina Owen, pozbawiona wody, zamarła, farmerzy popadli w nędzę. A właściciele gruntów w piaszczystej dolinie San Fernando, zamienionej, dzięki ukradzionej wodzie z gór — w piękną oazę — zarobili na tym setki milionów. W tej dolinie znajdują się obecnie najpiękniejsze wille „gwiazd" filmowych.

Miss de Rieth nie zdawała sobie sprawy z tego, ile ogromnych wysiłków włożyć musieli ludzie, aby ten kraj pustynny i pozbawiony wody doprowadzić do stanu kwitnącego, jakim był obecnie, ale lubiła często wyjeżdżać na samotne wycieczki w dolinę San Fernando, snuć się po najbardziej zapomnianych drogach i dróżkach, rozmawiać z dziećmi, zdrowymi, wiecznie uśmiechniętymi i pogodnymi, próbować owoców w ogrodach, które o wiele bardziej smakowały jej — zerwane wprost z drzewa — niż wtedy, kiedy znajdowała je na swoim stole, kupione w owocarni!



Jan Kiepura i Marta Eggerth z humorem wykonują najnowszy taniec „lambeth walk" podczas pobytu w Cap Martin.

Również i teraz, pragnąc wykorzystać dni wolne, jakie dzieliły ją od zapowiedzianego wyjazdu na morze jachtem Fancy, nazajutrz po zdecydowaniu się na wycieczkę, zamierzała wyjechać w okolicę. Była usposobiona pogodnie i radośnie, cieszyła się słońcem i jasnością, jakiej w tym zakątku ziemi tak wiele jest zawsze i nawet zupełnie zdawała się nie pamiętać o tym, że gdzieś niedaleko znajduje się człowiek zdecydowany na wszystko, który wypowiedział jej wojnę i zapowiedział już z góry osiągnięcie zwycięstwa. Jedyną myślą, jaka stale przychodziła jej do głowy, była myśl o Rogerze. Jak on też dzisiaj, po przeszło rocznym niewidzeniu, wygląda? Czy zmienił się cokolwiek? Jak ją też powita? Słowem — myśl jej zajęta była jedynie Rogerem, jego przyjazdem i radością samą, jaką sprawiało jej owo myślenie.

Później, kiedy już prawie stał pod willą jej wóz, przypomniała sobie naraz Mady i pomyślała, że dobrze było by, zabrać to twarde dziewczątko ze sobą na przejażdżkę. Zamierzała więc zatelefonować do niej, ale po namyśle zmieniła zamiar i, wsiadłszy do wozu, pojechała wprost pod adres, jaki zostawiła jej Lie. Zastała ją w swoim skromnym pokoiku, zajętą wystukiwaniem liter na maszynie. Mady, widząc sławną gwiazdę, wchodzącą do jej mieszkania, zażenowała się z początku. Po chwili jednak uśmiechnęła się radośnie i zaprosiła artystkę do zajęcia miejsca.

— Nie, nie siadam ani na moment — odrzekła z uśmiechem Kaja — kto widział, ażeby w taką przepiękną i słoneczną pogodę kwasić się w tych murach z „papier-maché", które tylko dlatego trzymają się całości, że deszcz nie pada.

— Mus jest zbyt wielkim panem, proszę pani — odrzekła Mady. — Musimy jakoś radzić sobie, aby wśród nagromadzonego mnóstwa zapasów żywnościowych z głodu nie umrzeć.

— Nie samym chlebem człowiek żyje, Mady, i dla ducha też coś zrobić trzeba. Dlatego porywam panią do mojego wozu i pojedziemy sobie w dolinę, aby się tam nacieszyć prawdziwą swobodą. Zgadza się pani?

Mady spojrzała na rozłożone na małym stoliczku papiery, potem na maszynę, w której tkwił wkręcony na wałek gumowy arkusz do połowy zapisany i w końcu jednym zgrabnym ruchem nakryła maszynę, schowała papiery do szufladki, poprawiła włosy na głowie, wzięła kapelusz i stanęła przed Kają.

— Ha, niech się dzieje wola niebios — zawołała z udaną rezygnacją — jestem gotowa skorzystać z takiej pokusy.

— A zatem chodźmy do wozu.

Po chwili obie panie siedziały już w samochodzie, który mknął jak strzała po równiutkiej i gładkiej drodze.

Kaja zajechała do jednego ze swoich dobrych znajomych, emigranta belgijskiego, u którego nieraz już spędzała nader miłe chwile, zabawiając się z dziećmi pana van Berensa nie jak osoba dorosła i sławna „gwiazda" filmowa, ale jak również mała dziewczynka, której tylko zabawa w głowie.

Wprowadzona w atmosferę prywatnego domu, Mady w pierwszej chwili poruszała się dość niezręcznie, jakby skrępowana, ale i ona wnet pozbyła się wielkiej pozy i sztuczności i dała się pociągnąć rozweselonej gromadce młodych Berensów w wir ich szalonych zabaw, pełnych ruchu, wykrzykników i wrzasków. Pod wieczór, który schodził orzeźwiającymi falami lekkich podmuchów wiatru na tę ziemię obiecaną doliny kalifornijskiej, pani Marta Berensowa wezwała wszystkich na podwieczorek. Zasiedli więc przy długim stole przed domem i zjedli lekki podwieczorek, złożony z wytworów mlecznych, białego chleba i owoców, wśród dalszych wybu-

chów wesołości i radosnego podniecenia. Najmłodsza córka państwa Berensów, czteroletnia Magdusia, wgramoliła się na kolana Kai i szczebiotała nieustannie, opowiadając jakąś zawiłą historię kurki, która wpadła do sadzawki i teraz ledwie poruszać się mogła. Pani Berensowa usiłowała Magdusię zdjąć z kolan wielkiej artystki, ale Kaja nie pozwoliła.

— Jesteśmy przecież wielkimi przyjaciółkami — tłumaczyła — a przy tym widujemy się nader rzadko, więc niechaj sobie Magdysia uży chociaż wtedy, gdy ja tutaj zjawiam się u państwa i wprowadzam zwykle tyle zamieszania i rozgardiaszu.

Po podwieczorku obie panie zabawiły jeszcze czas jakiś w fermie, a potem, pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, pomknęły z powrotem do Hollywood.

Po drodze Kaja zagadnęła Mady w pewnej chwili:

— Mady, pojutrze wybieram się na wycieczkę jachtem Fancy. Czy nie zechciałaby pani skorzystać z tej okazji również?

— Nie jestem przecież proszoną, więc jakże mogę wdzierać się na pokład prywatnego jachtu Fancy.

— O to mniejsza, proszę się zgodzić, a już resztę ja sama załatwię.

Mady się namyślała. Prawdę mówiąc, to miała wielką ochotę na wycieczkę morską, a z drugiej jednak strony pewne skrupuły nie pozwalały jej na wyrażenie swej zgody na propozycję bez pewnego ociągania się.

— Nie wiem, czy jeśli się zgodzę, nie narażę pani na kłopot — zauważyła znowu.

— Ależ Mady, moja droga, niechże się pani nie ociąga. Fancy nie odmówi mi, skoro ją tylko o to poproszę. Zaręczam.

— Ha, niechże będzie i tak. Jadę z panią.

Kaja, z natury bardzo żywa i zawsze usposobiona do ludzi bardzo życzliwie, omal nie uściskała z radości Mady. Nie uczyniła jednak tego tylko z tej prostej przyczyny, że prowadząc sama samochód, nie mogła wypuścić z rąk kierownicy. Podziękowała jej zatem tylko uśmiechem i wjechała do Hollywood.

W terminie oznaczonym na pokładzie jachtu „Szach" znalazła się wśród licznych gości zarówno Kaja, jak i Mady i od razu wpadły w wir kobiet młodych, pięknych i beztroskich. Znajdowało się tu również i kilku mężczyzn, ale ci ginęli wśród tłumu aktorek, adeptek filmowych i statystek. Nieliczni marynarze w białych, efektownych ubraniach, przewijali się po pokładzie bezszelestnie, spełniając swoje czynności i nie zwracając prawie żadnej uwagi na ludzi, którzy spadli na jacht jakby jedynie po to, by robić zamieszanie.

Kaja rozglądała się ciekawie po ludziach, jakby wśród nich szukała kogo. A nie znalazłszy szukanego, zabrała Mady i przyłączyła się do grona znajomych dyskutujących zawzięcie na temat, w jakim kierunku jacht ma popłynąć. Spór ten rozstrzygnęła dopiero Fancy, oświadczając, że sprawę tę należy zostawić kapitanowi, który najlepiej będzie wiedział w jakim kierunku popłynąć, aby w ciągu dni trzech odbyć przyjemną przejażdżkę.

W godzinę później rozległ się głos syreny, marynarze podnieśli kotwicę i jacht z podniesionymi żaglami i wspomagany maszynami parowymi, drgnął, poruszył się i z całą powagą zaczął płynąć w stronę otwartego oceanu.

Na morze schodziła noc, pełna gwiazd, jasności niebieskich w górze i cudownych rozbłysków na ogromnym oceanie, który szemrał jakąś cichą, odwieczną pieśń, zapewne o tych dziejach minionych swoich, kiedy to po nim pływały pierwsze łodzie kolorowych ludów, aż nie zjawił się tu człowiek biały i nie ujarzmił tych bezkresnych wód, spuszczając na nie olbrzymy z żelaza i stali w postaci kolosów wojennych lub transoceaników pasażersko-transportowych.

Wszyscy wylegli na pokład. Lekki orzeźwiający wiaterek muskał twarze ludzi, a muzyka, specjalnie na jacht zabrana, grała w tej chwili jakąś triumfalną melodię, jaką człowiek skomponował dla doznawania przyjemnych wzruszeń uczciwych dusz.

Liczne światła rozbłysły na jachcie i cały pokład zajaśniał, jakby w potokach słonecznych. Kaja i Mady stały przy barierze i patrzały w dal, ku lądowi, gdzie w



Płonący samochód-cysterna z benzyną na jednej z dróg w Stanach Zjednoczonych.



W setną rocznicę urodzin twórcy opery „Carmen", Georges Bizeta wmurowano tablicę pamiątkową ku czci kompozytora.

oddaleniu gasły powoli światła wielkiego miasta i latarnie portu.

I dopiero wtedy, gdy już nic widać na brzegu nie było i nawet światła okrętów stojących na redzie pokryła noc, głos gongu oznajmił wszystkim, że czas na zejście do wielkiego salonu, gdzie czekało na gości przyjęcie. Ruszano się tedy z miejsc i zwolna fala ludzka zaczęła odpływać od kabin.

— Jakże się czujesz, Mady? — zagadnęła Kaja, kiedy obie panie, trzymając się pod ręce, roześmiane i radosne szły za innymi.

— Po prostu rozkosznie — odrzekła statystka. — Chciałabym mieć własny jacht, aby się móc wybrać w podróż po dalekich morzach, zwiedzić glob ziemski, zajrzeć do wszystkich miłych i pięknych zakątków świata. Człowiek tak wiele uczy się przez podróże!

— Marzenie to wcale nie jest niewykonalne.

— Ech, nie wydaje mi się. Jakże to bowiem stać by się mogło?

— Możesz jeszcze zostać sławną artystką filmową i marzenia swoje zrealizować.

— Niestety, to już nigdy nie nastąpi. Dla filmu przepadłam całkowicie. Powiedziano mi przecież całkiem wyraźnie: „Pani nie nadaje się do filmu. Nie odnowimy z panią kontraktu. Bardzo nam przykro".

— To niewiele znaczy. Pamiętaj, kochana moja Mady, że sławni reżyserowie podobnie oświadczyli nie tylko tobie jednej, ale i innym, którzy stoją przecież dzisiaj w szeregu najsłynniejszych gwiazd Hollywoodu.

— To tylko wyjątki.

— Wcale nie. Szereg innych sławnych dzisiaj gwiazd filmowych również słyszało tego rodzaju fatalne proroctwa. — Jak mylne są często oceny reżyserów.

— Ja się tu formalnie duszę nieraz. Kaja się roześmiała .

— W tutejszym powietrzu oddycha się przecież tak lekko i swobodnie.

— Ale nie w tutejszej atmosferze zawiści konkurencyjnej, plotek, podstępów, wymuszania, kidnaperstwa i nieustannych zamachów gangsterów.

— To już należy do objawów tutejszego codziennego życia, moja Mady, i pewnie nieprędko zmieni się to na lepsze. Pieniądz kusi, pieniądz jest najsilniejszym magnesem, a złoto największą pokusą.

Weszły do wielkiej kajuty jachtowej, — gdzie już znajdowali się prawie wszyscy pasażerowie i tutaj podeszła do nich Fancy. Była to osóbka pretensjonalna o aktorskich, sztucznych gestach, mówiąca krzykliwie i zbyt głośno się śmiejąca. Ale to były drobne braki wobec urody prawdziwie królewskiej i pańskiej. Mówiono też o niej, że najpiękniejszą jest wtedy, kiedy milczy.

— Kaju, miła moja, jakże się czujesz na moich deskach? — zawołała swoim krzykliwym głosem, obejmując ramieniem towarzyszkę.

— Jak dotąd, kochana Fancy, nie możemy narzekać. Czujemy się naprawdę doskonale i tak nam lekko i zwiewnie na duszy, jak chyba nigdy.

— Cieszę się z tego bardzo. Byłabym niepocieszona, gdyby ktokolwiek z moich gości nudził się. No, ale biegnę dalej, bo jako gospodyni na tym jachcie, muszę się dzielić między wszystkich, a wy, moje miłe, nie krępujcie się niczym i radźcie sobie tak, jak u siebie w domu. Niebawem siądziemy do stołu.

I Fancy popłynęła dalej, roznosząc swój krzykliwy głos i wybuchowy śmiech po wszystkich kajutach sąsiadujących z wielkim salonem.

Zaczęto zajmować miejsca przy stole, sadowiąc się tak, jak i gdzie komu było wygodniej.

Kaja i Mady usiadły przy sobie, a po chwili przysiadł się do nich Charles Sfiwt, którego dotąd nie widziały wcale.

— Dobry wieczór, piękne gwiazdeczki — powitał ich ze swobodą. — Jakże paniom powiodła się dotychczasowa podróż?

Mady spojrzała na Charlesa prawie z lękiem. Od czasu bójki w „Abderze", statystka czuła wyraźny strach przed byłym cowboyem, któremu się wydawało, od chwili wejścia do filmu, że wszystko mu wolno i każde szaleństwo jest dozwolone.

— Ach, więc i pan tutaj! — zdziwiła się nieco Kaja. — Gdzież to pan się chował?

— Byłem w barze wraz z kilku innymi panami. Było tam bardzo wesoło.

— Zatem jest was tu więcej?

— O, tak. Chcieliśmy paniom zrobić niespodziankę i dlatego zjawiliśmy się na jachcie daleko wcześniej i zapakowaliśmy się do kajuty barowej, gdzie spędziliśmy czas dość wesoło.

— Któż tu jest z naszych wspólnych znajomych?

— Wiele osób. Jest zatem mister Abalone, mister Quince, obaj dyrektorzy i mister O'Conor...

— Ach!

Ten krótki okrzyk, jaki wydobył się z ust Kai, zastanowił na moment Sfiwta, ale że już był mocno podchmielony, nie zatrzymał się nad nim dłużej i nie dociekał jego przyczyny. Kaja zaś, spojrzawszy wymownie na Mady, pomyślała jednocześnie, że obecność O,Conora na tym jachcie nie musi być bez przyczyny. Odezwała się przeto po francusku do przyjaciółki.

— Mady pamiętaj nie odstępować mnie ani na krok.

— Dobrze. Rozumiem o co ci chodzi.

— Piękne panie — przerwał im Charles — raczcie łaskawie rozmawiać w języku ludzkim, bo tej paplaniny francuskiej nie rozumiem ani w ząb.

— Nic, nic — uspokoiła go Kaja — rozmawiamy właśnie o tym, że Fancy urządziła nam miłą niespodziankę, gdyż bez mężczyzn nudziło by się tu może. Przypuszczam bowiem, że po kolacji będą tańce, a z kimże tańczyć, gdyby „panów stworzenia" zabrakło?

Charles nie wyczuł ironii w tych słowach, ale wziąwszy ją za dobrą monetę, uśmiechnął się zadowolony i następnie przerzucił do innego tematu rozpoczynając plotkowanie na temat niektórych osób towarzystwa.

Ale Kaja prawie go nie słuchała, gdyż w drzwiach ukazał się O'Conor, a za nim Abalone, Quince i szereg nieznanych jej w ogóle figur męskich. Milioner przystanął na moment przy wejściu do salonu i obrzucił całe zgromadzone już tutaj towarzystwo badawczym wzrokiem. Oczy jego spotkały się z oczami Kai i zatrzymały się na niej przez moment. W następnej chwili O'Conor eleganckim wolnym krokiem ruszył w stronę aktorki. Jednocześnie Kaja szepnęła do Mady:

— Przeczuwałam, że w tym zaproszeniu mnie tutaj, jest jakaś ukryta gra.

Mady spojrzała na nią zaciekawiona, a zobaczywszy następnie milionera, zrozumiała wszystko i ścisnęła z lekka Kaję za ramię.

— Madame — rozległ się w tej chwili głos O'Conora — bardzo mi miło spotkać panią znowu .Nie widzieliśmy się już od dość dawna.

— A tak, od ostatniej pańskiej bytności w studio.

O'Conor przysiadł do Kai, a równocześnie Charles zaproponował Mady jedną tu-

— Taniec przed jedzeniem zaostrza apetyt i pomaga trawieniu — mówił aktor trochę drwiąco.

Mady nie mogła odmówić, aby nie wywołać skandalu, o co u Charlesa nie było wcale trudno. Wstała więc i porozumiawszy się z Kają wzrokiem, poszła tańczyć. Kilka innych par kręciło się tutaj, wyczyniając nieprawdopodobne łamańce, które trudno nazwać by można tańcem.

Kaja siedziała milcząca i, obserwując tańczące pary, odpowiadała O'Conorowi tylko monosylabami. Ale później przyszła jej nagła myśl do głowy, więc zwróciła się pierwsza z bezpośrednim zdaniem do milionera.

— Mister O'Conor, czy pan nie uważa, że Mady Lie jest wprost wymarzoną partnerką dla Charlesa? — zauważyła.

Milioner spojrzał naprzód na Kaję, potem skierował wzrok na Mady i odrzekł z uśmiechem.

— Zgadzam się z pani zdaniem. Zgodziłbym się zresztą nawet wtedy, gdyby tak nie było.

— Ach, nie chodzi mi bynajmniej o to, aby się pan zgadzał ze mną dlatego, że właśnie ja to mówię, ale pragnę, aby pan zgodził się dlatego, że tak właśnie jest. Proszę tylko uważniej przyjrzeć się tej dziewczynie.

— Niechże i tak będzie. Cóż to za kobieta?

— Europejka, moja przyjaciółka.

— Czy także wyznawczyni katolicyzmu i zasad, jakie pani głosi?

Kaja spojrzała śmiało w oczy milionerowi i odrzekła wyniośle prawie:

— Tak, Mady wyznaje te same zasady, jakie wyznaję ja.

— Jest więc kobietą niedostępną dla ułomności ludzkich, zapewne doskonałość, która, jeśli zostanie uniesiona na ognistym wozie wprost do nieba żywcem, z pewnością po śmierci zostanie kanonizowana.

— Mister O'Conor, bardzo pana proszę, nie drwić z uczuć, które są moimi uczuciami. Powiedział mi pan niegdyś, że kraj amerykański jest tolerancyjny. Proszę zatem zachować się tak, jak na naprawdę tolerancyjnego Amerykanina przystało i swoje uwagi zostawić dla siebie.

— Bardzo panią przepraszam, nie chciałem jej obrażać. Już mi to proszę wybaczyć i zostańmy znowu przyjaciółmi. — Wprawdzie dotychczas kłóciliśmy się trochę, ale sądzę, że to nie może stanowić przepaści między nami na przyszłość, choćby dla usprawiedliwienia przysłowia, że kto się czubi, ten się lubi.

O'Conor mówił to głosem uprzejmym, skruszonym, jakby tym dawał poznać, że naprawdę zależy mu na uzyskaniu przebaczenia Kai. A ją uderzyły dość silnie te słowa łagodne i ciepłe, więc rozchmurzyła się natychmiast i nawet przychylnie spojrzała na milionera.

A tymczasem znowu rozległ się gong, muzyka grać przestała, pary zaczęły wracać na swoje miejsca i niebawem sfora wygalowanych lokai zaczęła roznosić dania. Uczta się rozpoczęła.

Mister Slim nie odstąpił już od Kai, ale pozostał na miejscu, które zajął na początku, między Kają i Mady. Z drugiej strony usiadł Charles, zabawiając Mady i zdając się nią jedną tylko być zajęty.

W obszernej kajucie panował gwar, śmiechy i chichoty, raz po raz rozlegały się wykrzykniki, a muzyka murzyńska, ukryta w jednym z kątów, grała jakąś smętną melodię, wyniesioną zapewne przez ich dalekich przodków z dawnej ojczyzny afrykańskiej.

Kolacja odbywała się w nastroju bardzo wesołym i dość harmonijnym. Przez otwarte okna kajuty napływało do wnętrza powietrze rzeźwe i pachnące morzem i dalekimi wiatrami południa i zdawało się nieść na swoich skrzydłach pieśni dalekie i stare, jak starym jest glob ziemski i jego morza i oceany.

— Kiedy po raz pierwszy w swoim życiu znalazłem się na oceanie — odezwał się w pewnej chwili Slim — wydało



Fot. H. Romała

Liście

Żółte, złote i czerwone
lecą z drzewa, lecą liście!
Pełnią życia umęczone,
lecą z wiatrem uroczyście.
W promienistym kręgu słońca
błyszczą ciepłem malowane,
płyną z wiatrem, hen, bez końca,
w bezmiar świata, — zapomniane.
Pod stopami łzą szeleszczą,
łkaniem cichym z wiatrem lecą,
blaskiem ciepła oczy pieszczą,
kolorową farbą świecą.
W świetle nocy księżycowym
opadają ociężałe,
blaskiem łez seledynowym
wyśpiewują późne żale.
A w ponure dni szarugi
nie padają w krąg złociście,
tylko w szarość, w deszczu smugi
zmieniają się spadłe liście.

Cecylia Pawlikowska.

mi się, że wody te są bezkresne i jakieś bardzo tajemnicze. Wtedy cieszyłem się każdą drobnostką, która przynosiła mi zadowolenie i radość. Było to, niestety, bardzo dawno już temu.

— A dzisiaj?

— Ech, dzisiaj — westchnął O'Conor — dzisiaj znam te wszystkie morza doskonale, znam wszystkie punkty ziemi. I zapewne nic nowego nie znalazłbym na żadnym z oceanów. Ale wie pani, morza wydają mi się bardzo podobne do kobiety. Są również tajemnicze i niezbadane. Zdaje nam się, że znamy je doskonale, że nie stanowią one dla nas żadnej tajemnicy, ale oto podchodzimy do nich z bliska i wtedy się okazuje, że stajemy wobec pewnej zagadki, nieraz nie do rozwikłania.

— To się panu tylko zdaje. Kobieta, jako człowiek z krwi, kości i duszy nieśmiertelnej, jest tylko człowiekiem mniej lub więcej psychicznie złożonym, ale nie jest istotą tajemniczą ani niezbadaną.

— Myli się pani. Kiedy panią poznałem, wydało mi się, że — proszę wybaczyć porównanie — jest pani tylko sobie gąską starokrajską, która pozuje na cnotliwość i zasady katolickie. Przy bliższym jednak poznaniu, okazuje się, że fałszywie panią osądzałem.

— To jeszcze nie stanowi wcale o mojej tajemniczości. Po prostu pomylił się pan i w tym rzecz cała. Sądził mnie pan zbyt powierzchownie i to także jest wytłumaczone, gdyż wiele osób ze świata filmowego w Hollywood upoważniało pana swoim postępowaniem do takiego sądu.

— Być może, być może... Ale jakąż ja mam pewność, że to, co dzisiaj biorę za prawdę, i rzeczywistość, nie jest tylko złudzeniem i pomyłka?

— To już zależy tylko od pana. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze jednolinijna. Idę swoją drogą, jaką nakreśliło mi wychowanie i nie mam zamiaru skręcać na jakąkolwiek boczną ścieżkę, aby tam szukać odmiany.

— Czy owe boczne ścieżki, to moja propozycja sprzed paru tygodni?

— Być może.

— A jeśli jednak z biegiem czasu będzie pani zmuszona na te boczne ścieżki zejść, co wtedy?

— Nie sądzę, aby się to kiedykolwiek stało.

— Zgodzi się pani jednak z tym, że nie ma człowieka na świecie, który by wytrwał w ciągu całego życia w jednym postanowieniu niezmienionym i nieskalanym, prawda? Bywają przecież takie okoliczności życia, które nas zmuszają do pewnych zboczeń w jedną lub drugą stronę.

— Owszem, ale tylko w rzeczach podrzędnych, ale nie zasadniczych. A dla mnie rzeczą zasadniczą jest to, że nie mogę targać więzów małżeńskich dla chimery przyszłego, jakiegoś innego szczęścia, które szczęściem może wcale nie być.

— A jeśli jednak dojdzie pani do zrozumienia, że to, co pani bierze za szczęście, nie jest nim i nie przynosi jej maksimum zadowolenia życiowego, cóż wtedy?

— Na razie nie zanosi się na taką odmianę pojęcia o szczęściu we mnie. Będę o tym sądziła wtedy, gdy to przyjdzie... O ile, naturalnie, w ogóle przyjdzie kiedyś.

— Przygotowując się jednak na najgorsze, trzeba i to przewidywać. Wtedy fakt takiej odmiany nie zaskoczy nas i będziemy mogli łatwiej wyjść z niepowodzenia obronną ręką.

Kaja nie odpowiedziała, ale ukradkiem spojrzała na Mady, która siedziała nieco opodal naburmuszona i odcinająca się zawzięcie Charlesowi, a ten znowu ze swej strony śmiał się głośno, opowiadając coś Mady i próbując ją również rozśmieszyć.

Muzyka murzyńska spotęgowała teraz swoje akordy, a że już i kolacja kończyła się i niektóre pary wysuwały się dyskretnie na górny pokład, na otwarte powietrze, wstała więc i Kaja.

— Chodźmy na pokład — zaproponowała. — Tutaj zaczyna być duszno, chociaż wszystkie okna otwarte.

Wstali wszyscy czworo i ruszyli ku drzwiom. Ich powstanie od stołu dało niejako ogólne hasło do wyniesienia się z jadalni.

Noc była na prawdę urocza. Dokoła, jak okiem sięgnąć, leżało wiecznie niespokojne i wiecznie coś szepczące morze, a w górze zawisł olbrzymi klosz niebieski nabity migocącymi ćwiekami gwiazd.

— Przypuszczam, że nie żałuje pani dzisiejszej wycieczki, chociaż nawet i ja tutaj się znajduję? — zagadnął O'Conor, kiedy usiedli w bujakach i zapatrzyli się na białą, spienioną bruzdę, snującą się za mknącym naprzód statkiem.

— Nie, przecież pan mi w niczym nie przeszkadza — odrzekła.

— Ale już sama świadomość, że jest się w towarzystwie człowieka, który wypowiedział nam wojnę, musi nastrajać melancholijnie.

— Oświadczyłam panu już dawno, że nie lękam się niczego. I powinien pan rozumieć jedno, że jeśli nie kocha się kogoś, trudno go zmusić do tego kochania nawet milionami. Pieniądz, to nie wszystko. Są wartości o wiele większe i cenniejsze, niż złoto.

— Nie neguję, że tak jest, choćby dlatego, że pani to mówi, ale proszę się również zgodzić i z tym, że w każdej wojnie zwycięża ten, kto ma większą wolę zwycięstwa i znaczniejsze środki do prowadzenia wojny.

— Ależ ja z panem wojny nie chcę prowadzić!

— Jednakże ja zmuszony jestem ją prowadzić. Znamy się już dość długo, prawda? Już w pierwszym dniu naszego poznania zrobiła pani na mnie tak wielkie wrażenie, że byłem niejako zmuszony wyznać jej, że ją kocham. Powiedziałem słowo, a słowo każdego dżentelmena obowiązuje.

— Prawdziwy dżentelmen nie będzie nastawał na kobietę, aby ją zmusić do miłości, której ona nie czuje.

— To zależy do jakiego stopnia ta miłość u dżentelmena dochodzi. U mnie przerodziła się ona jakby w jakiś chorobliwy przymus. Nie mogę spędzić nawet paru godzin swobodnie, aby nie myśleć o pani. Kocham cię, madame, i powtarzam to dzisiaj nie po raz pierwszy. Nie wstydzę się tego i nigdy się nie zaprę, choćbym nawet miał przegrać w tej walce, którą rozpocząłem. Proszę mi wierzyć, że w dotychczasowym życiu moim nie kochałem nigdy prawdziwie. Wszystko, co było w przeszłości, a co ja mogłem brać za miłość, było tylko blichtrem i złudzeniem. Jeśli to nawet było można nazwać miłością, to tylko miłością zmysłów, ale nigdy miłością serca. Jedyną kobietą na świecie, którą kocham, to pani.

— Powiedziałam już panu, że nawet słuchać mi się tego nie godzi. Jestem mężatką, posiadam męża, którego kocham, dlatego słowa pana są tylko kuszeniem szatana, który usiłuje sprowadzić mnie z prostej i uczciwej drogi.

— Nieprawda! — zaperzył się O'Conor. — Cóż w tym złego, że wspominam pani o mojej miłości? Przecież jest pani katoliczką, a katolicyzm, jak żadna inna chyba religia, podkreśla w swoich naukach z całym naciskiem, iż tylko miłość spośród wszystkich uczuć ludzkich jest najwznioślejsza.

— Ale miłość uczciwa.

— Cóż nieuczciwego jest w miłości mojej?

— Wszystko, bo ta miłość sama w całości jest nieuczciwa.

— Nie, nie i nie. Nigdy się nie zgodzę z tym rozumowaniem. Wiem jedno, że kocham i że muszę dojść do brzegu i zakosztować rozkoszy, jaką dać może jedynie miłość prawdziwa i wielka. A miłość wielka nie cofa się przed niczym. Dla przykładu weźmy wielkie miłości historyczne, jak: Antoniusza i Kleopatry, Julii i Romea i inne. W wielkich romansach kochankowie wszystko rzucają na szalę, z niczym się nie liczą, aby tylko cel osiągnąć, a celem tym bywa realizacja wielkiej miłości i szczęście. Gdyby nos Kleopatry był mniej kształtny — powiedział Pascal — któż wie, jakby się dzisiaj przedstawiały granice państw. W tym powiedzeniu jest cały sens.

— Sens bardzo przyziemny, albowiem Antoniuszowi nie chodziło wcale o wartości duchowe Kleopatry, które — nawiasem mówiąc — były prawie żadne, ale o powłokę cielesną, o kształty ciała, które go podbiły. Żałuję bardzo, ale muszę pana rozczarować, gdyż ja nigdy nie pójdę śladami Kleopatry. Dla mnie to żaden wzór do naśladowania.

— Ja jednak pójdę śladami Antoniusza.

— Będzie to trop fałszywy.

— Bardzo możliwe, ale ja tym tropem pójdę. Rozporządzam takimi środkami, jakimi rozporządzał Antoniusz, tylko może w odmiennym stylu, jak odmienną jest dzisiejsza epoka i warunki bytu. I uprzedzam, że nie zrezygnuję z mojego zamierzenia.

— Nie obawiam się niczego i nie skręcę na boczną uliczkę nigdy.

— Zmuszę panią do tego, choćbym duszę diabłu miał zaprzedać.

— Nigdy.

O'Conor poruszył się nerwowo. Kaja wyczuła, że ten człowiek w tej chwili opanowuje się całą mocą i gotów jest wybuchnąć jak wulkan, jeżeli będzie go w dalszym ciągu drażnić swoim uporem. Zlękła się trochę i zimny dreszcz przebiegł jej po grzbiecie, chociaż noc była bardzo ciepła i orzeźwiająca. Postanowiła jednak nie łagodzić poprzednich swoich słów, ażeby nie okazać, że się czegokolwiek obawia.

— Pani — wyrzekł znowu Slim głosem drżącym i pełnym tajonej namiętności. — Czy pani nie jest człowiekiem, czy też jest człowiekiem bez nerwów i o zimnej krwi.

— Dlaczego? — spytała, udając, że nie pojmuje, o co temu człowiekowi chodzi.

Slim wybuchnął nagle, jak lawa.

— Dlatego, że to niepodobne, aby słowa moje nie wzruszyły cię ani na trochę. Przecież ja cały spalam się w miłości dla pani, przecież ja od tygodni nie mam myśli wolnej, jak tylko myśl o pani. Czy pani tego nie pojmuje? Słuchaj mnie, Kaju, dotąd nie używałem w walce z twoim uporem żadnych środków gwałtownych i żadnej przemocy, starałem się być dobrym dla ciebie i łagodnością pokonać cię. Przecież ta obecna wycieczka, to moja inicjatywa, przeze mnie zrealizowany projekt z myślą tylko o tobie. Chciałem znowu spotkać się z tobą i znowu poruszyć sprawę miłości. Inaczej przecież nie miałem żadnej okazji i żadnej możności rozmowy. Ale, na Boga, nie przeciągaj struny, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa, bo inaczej gorze tobie i gorze mnie! Zaręczam, że jestem gotów ważyć się na wszystko, choćby głową nałożyć przyszło. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo wtedy nie będę na nic zważał, z niczym się liczył.

Kaja powstała zimna i gniewna.

— Mister O'Conor — wyrzekła z powagą — proszę się nie zapominać. Nie kocham pana i nigdy nie pokocham. I proszę nigdy więcej nie wspominać mi o swojej miłości, bo ona nie ma do mnie żadnego dostępu. To moje ostatnie słowo.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

19)

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

W czerwcu Eugenia udała się do Madrytu. Już dości przedmiotów, już tylko niezapomniane zatylko jej ręce odnajdywały zarysy znanych w młopachy budziły w niej wspomnienia Hiszpanii z okresu jej szesnastoletniej młodości. Jak we śnie przejechała przez Sewillę. Po przybyciu do Madrytu cesarzowa zamieszkała u swego ciotecznego wnuka, księcia d'Albe w pałacu Liryjskim. Przez całe dnie przesiadywała w otwartym oknie, przysłuchując się odgłosom życia. Nie uprzedzając nikogo o swej decyzji, poddała się pewnego dnia operacji katarakty. Zabieg się udał i chora odzyskiwała powoli wzrok. Przez kilka godzin widziała znowu niebo, słońce, drzewa; ujrzała swą młodość na czarującym portrecie Winterhaltena, lecz kiedy oczy jej zdawały się być już zupełnie uzdrowione, trzeba było pozamykać okna i opuścić zasłony. Cesarzowa Eugenia zmarła dnia 11 lipca 1920 roku. Ostatnia istota z epoki bonapartyzmu pchana tajemniczą siłą, powróciła na Południe, by tam zakończyć życie.

W tym samym kierunku udał się również ostatni pretendent do tronu Habsburgów po kilku nieudanych próbach powrotu do Austrii. Cesarz Karol i cesarzowa Zyta musieli opuścić Szwajcarię. Chory cesarz rozkładał niekiedy wieczorami mapy i pokazywał swemu najstarszemu synowi Ottonowi, to wszystko, co utraciła dynastia, przegrywając wojnę. Wielka żółta plama, wyobrażająca imperium austriacko-węgierskie zniknęła. Różnobarwna pstrokacizna zastąpiła rozbitą monarchię. Mały Otto, niewiele pojmując, patrzył na czerwoną smugę, zwaną Czechosłowacją, na zielony skrawek oznaczony słowem Austria, przedstawiający ubogą, bezsensowną republikę o siedmiu milionach mieszkańców z olbrzymią stolicą, która była niegdyś najważniejszym miastem Europy, a która stała się zbyt wielką głową w stosunku do zniekształconego tułowia. Obok — brunatne Węgry, pokawałkowane, odarte ze wszystkich możliwości, rozszarpane na części, pozbawione milionów obywateli, zaanektowanych przez Rumunię; nowopowstała Polska i wreszcie Bośnia oraz Hercegowina przesunięte pod inne rzędy.

Nieszczęśliwy ojciec, którego słabe ramiona nie były w stanie udźwignąć tak wielkiego ciężaru, opowiadał dziecku o żalach Madziarów, tych wiecznych malkontentów. Walczyli oni przeciw centralizacji imperialistycznej, a teraz nadzieja, którą się tak długo karmili, stała się ich zgubą. Hasła narodowościowe Węgrów zostały bezlitośnie wykpione. Naród pogrążył się w smutku i melancholii!

Zubożały i zrozpaczony cesarz musiał wkrótce z całą swą rodziną szukać schronienia w Funchalu. Zwycięzcy wydawali rozkazy zwyciężonym. Opuściła go już najmniejsza nadzieja na poprawę losu. Habsburgowie, prześladowani okrutnym przekleństwem, wszystko utracili. Byli pozbawieni nawet środków finansowych, które pozwalają upadłym monarchom otaczać się pewną aureolą. Mieszkanie, zajmowane w Funchalu, okazało się zbyt drogie, ostatnie fundusze wyczerpały się. Mali książęta byli chorzy.

Cesarz Karol w ponurej zadumie przysłuchiwał się pomrukom Oceanu. Nadeszła jesień. Drzewa okryte były jeszcze zielenią, lecz jakże odmienną od soczystych barw Austrii lub Tyrolu, tak miłych oku; była to zieleń spalona, mieniąca się czerwienią i brązem, okrywająca się zwolna rudym nalotem. Przed z górą 60 laty Maksymilian tu właśnie marzył o królestwach niemożliwości, o Eldoradach z niezwykłego zdarzenia, o ziemskich rajach Nowego Świata; tu właśnie opłakiwał śmierć swej narzeczonej, dziedziczki don Pedra, tu właśnie patrzył w pałące się oczy Karoliny, cesarzowej Meksyku!

Uciążliwy brak środków materialnych stworzył krytyczną sytuację. Dawnym suwerenom Austrii została zaofiarowana na gratisowe mieszkanie willa, położona w górach, do której prowadziła stroma droga. Cesarz Austrii przyjął jałmużnę od króla cygar. Cała rodzina zwiozła na kilku wozach resztki dobytku dawnej monarchii. Ostatni dzień spędzony nad Oceanem przed odejściem w góry oprządł serca wszystkich melancholijną tęsknotą. W dwie godziny po odjeździe nadeszła zima. Habsburgów otoczyła mgła i chłód. Arcyksiążęta drżeli z zimna w nieopalonych salach. Słone wiatry pustoszyły ogród. Tu skończył się ostatni rozdział życia cesarza Karola Habsburga, który umarł w nędzy i osamotnieniu, na lodowatym wygnaniu, zmiażdżony okrutnym przeznaczeniem i napiętnowany rylcem losu.

Straszliwy wicher zmiótł trony. Rosyjska rodzina cesarska została wymordowana. Prasa przepowiadała od roku 1917 koniec Sowietów, lecz Trocki walczył zwycięsko przeciw Kołczakowi, Petlurze i Denikinowi. W Niemczech zniknęły małe królestwa i rządy socjalistyczne objęły władzę w Berlinie. Rodzina Hohenzollernów szukała ratunku w ucieczce. Habsburgowie, bezlitośnie rozbici, zapadli na zawsze w bezdenną otchłań.

W Wiedniu na wybrzeżach Dunaju budowano olbrzymie dzielnice socjalistycznych robotników. Zamknięto Hofburg, zawarto wrota Schönbrunnu. Wspaniałe stajnie, w których rasowe wierzchowce Elżbiety świadczyły o wielkości monarchii, zostały oddane do użytku policji konnej. Co zrobiono z pięknym pałacem Laxenburskim, gdzie cesarzowa Zyta spędziła z dziećmi kilka niezapomnianych dni? Co zostało z myśliwskiego pałacyku w Meyerlingu? W miejscu, gdzie zginął Rudolf samobójczą śmiercią, wybudowano kaplicę, by zażegnać los. Przechodnie, snujący się w alejach parku, kreślili znak krzyża i zdążali na cmentarz Heiligen Kreuz, by złożyć wiązankę kwiecia na grobie pięknej Marii Vetsery, cesarzowej z lewej ręki!

Dziecię z Sassetot było już teraz hrabiną w dojrzałym wieku, która umknęła z Austrii i osiedliła się w Anglii. Rodzina jej powiększyła się o małą córeczkę, ochrzconą imieniem Elżbiety dla upamiętnienia dostojnego pochodzenia. A kuzyn jej, syn Karoliny, przebywał w Paryżu, otoczony sławą i szacunkiem, zdobywszy w demokratycznej republice chwałę, jaką rodzina jego utraciła w potężnej monarchii. Jakże dziwne są wyroki losu! Jakiż sprawiedliwy odwet, niezależnie od woli ludzkiej, bierze fatalistyczne przeznaczenie!

Wichura dziejowa położyła koniec beznadziejnej epoce! Nie ma mocy, która by mogła powstrzymać huragan! Habsburgowie zapłacili swój haracz, a grzech przeciw prawom człowieka, ciąży ustawicznie na bezsilnym arcyksięciu Ottonie, dziedzicu bez dziedzictwa. Habsburgu bez cesarstwa, monarsze bez korony!

Watykan przeżywał również ciężkie chwile. Nieubłagany Pius IX. odszedł już w zapomnienie, lecz jego nieprzejednane stanowisko względem cesarzowej Karoliny, wydało owoce w Meksyku. Kościoły zostały zamknięte, księża podporządkowani władzy rewolucyjnej lub szukający ratunku w ucieczce w góry. Kilku biskupów osądzono, kilku rozstrzelano, a wielu mnichów dumało w więzieniach Meksyku o konsekwencjach klęski poniesionej przez religię. A ci, którzy znali nieco hisorię, rozmyślali o zdradzie Mgr. La Bastidy,

który wespół z nuncjuszem Meglia, popieranym przez papieża, przyczynił się do upadku Maksymiliana. Rzym płacił Meksykowi za błędy i bezwzględność Piusa IX. W całym świecie ugrupowania katolickie protestowały przeciw prześladowaniom w Meksyku, zapominając, iż katolicy właśnie współdziałali w prześladowaniu cesarza i spowodowali swym postępowaniem nawrót groźnego płomienia.

W tym czasie realizowały się ideały rewolucji indyjskiej; zamiast „wcielić Indian do cywilizacji, wcielono cywilizację Indianinowi". Prezydentura de Madero przyspieszyła poczynania socjalistów, a łatwo zapominający Meksykanie modlą się w dalszym ciągu do świętych katolickich i do bożków azteckich. Wywieszają czerwony sztandar, tworzą syndykaty, rzucają petardy na cześć zwycięskich generałów i powstańców, nie pomną już o tym, iż cały ten ruch, który stworzył obecną wielkość Meksyku, został zapoczątkowany przez Maksymiliana i Karolinę za czasów wielkiego Juareza, narodowego bohatera.

W państwie, które było niegdyś Cesarstwem Nowego Świata, powstały muzea, gdzie leży w zapomnieniu żałosna spuścizna po wielkiej cesarzowej. W gablotach widnieją mundury obcych wojsk, szable z okresu oblężenia Puebli, armaty odebrane Bazaine.owi, piękna pozłocista karoca, która służyła Maksymilianowi i Karolinie do ceremonialnych wyjazdów.

Kurz, cisza, zapomnienie! Zwycięzcy mają zawsze słuszność w historii. Ludy kochają siłę i lubią parady: biją oklaski w czasie defilad i nie uczęszczają do muzeów.

Iluż Meksykańczyków wie jeszcze o tym, iż w wielkim parku w Brabancji żyje stara 90-letnia kobieta, która była ongiś ich cesarzową, która galopowała w meksykańskiej amazonce na bulwarach stolicy Meksyku, która sprawowała regencyjne rządy a nawet tworzyła prawa, na wprowadzenie w życie których, socjalistyczni prezydenci stracili pół wieku?

Czyż nigdy, kiedy o zmroku duchy Montezumy i Corteza powracają pod odwieczne cyprysy w Chapultepec, Indianie o wąskich oczach nie ujrzeli mścicielskiego widma swej monarchini!

Czyż wiedzą o tym, iż wszyscy zmarli ministrowie, wszyscy rozstrzelani lub polegli generałowie, wszystkie damy starej arystokracji, których wnuczki idą pieszo ulicami, myśląc o tangu lub foxtrocie, zamieszkują również ten wielki park, gdzie Cesarstwo Meksyku wciąż trwa w całości?

Co dzień odbywają się tajemnicze schadzki duchów. Widma Miramona i Mejia, naszpikowane ołowiem pod murem Cerro de Las Campanas, odwiedzają swą cesarzową na brzegach stawu, nad którym unoszą się mgły jeziora Xochimilco. Porozumiewają się półgłosem i zamieniają sakramentalne znaki. Niekiedy zjawia się również i Maksymilian w mundurze austriackiego admirała lub meksykańskiego generała. Wciąż jeszcze ma promiennie młode oczy i cesarzowa kładzie drżącą dłoń na sercu, bijącym tak gorąco jak dawniej. Karolina przebywa w swym cesarstwie, żyje w jego cieniu otoczona duchami, w ustawicznej łączności z zaświatem.

Biedna, stara cesarzowa w czarnej sukni i staromodnym kapeluszu, ozdobionym skrzydłami mewy, trwa, nieobecna duchem, w zaczarowanej krainie melancholii, gdzie nie rozróżnia się istotnej rzeczywistości od legendy, ni najpromienniejszego dnia od najciemniejszej nocy. Wolnym krokiem zbliża się do stuletniego kasztana i tak, jak to czyniła przez wszystkie czasy swego królestwa złud, gładzi korę drzew i podnosi kamienie. Czy to kasztan czy też cyprys? Czy to pałac w Chapultepec, czy też rezydencja w Bouchout? Cesarzowa, wsparta o rozłożyste drzewo, wsłuchuje się z przymkniętymi oczami, w przyszłość. Jest już ostatnią ze współczesnych swego wieku, przeżyła wszystkich kierując bezwolnie wydarzeniami swej epoki. I może już opuścić swe cesarstwo.

XXIII.

Cykl przeznaczenia jest już zakończony. Krąg się zamknął. Wszystko co wirowało dookoła cesarzowej Karoliny zniknęło zwolna pod naciskiem czasu. Ona jedna wyłania się jeszcze z mroków przeszłości. Biedna stara cesarzowa przeżyła życie najbardziej tragiczne, jakie można sobie wyobrazić. Tragiczne nie tylko ze względu na jej osobiste przejścia, lecz również ze względu na wir wydarzeń dziejowych, nieustannie obracających się dookoła jej widma.

Pamiętam, iż widziałem ją, nie tak dawno jeszcze gdy krążyła po alejach parku jak nikły cień, dążący do ostatecznego wyzwolenia. W czerwcu 1926 roku byłem obecny w czasie dorocznej procesji. Cesarzowa stała na swym honorowym miejscu, otoczona całym dworem; ostatnie blaski dostojeństwa i majestatu opromieniały żałosną postać, utrzymującą się jeszcze na tym świecie odrobiną tlejącego życia. Czyż to ta sama czarująca młoda dziewczyna, którą Winterhalter malował pędzlem, maczanym w poezji? Gdzie się podziały suknie à panier, krynoliny, bolera? Cesarzowa nuciła cicho narodowy hymn meksykański lub tęskną melodię pieśni „La Paloma", którą słyszała przed z górą pół wieku w jednym z teatrów Meksyku.

Lekarze, dworacy, damy dworu, ochmistrzowie zmieniali się kolejno w służbie cesarzowej. Minęły już dawno te czasy, gdy Karolina w przystępie szalonego gniewu, tłukła z pasją talerze, poczem ogarnięta bezbrzeżną melancholią cicho płakała lub malowała akwarelami kwiaty o nieznanych, wykwitłych w jej wyobraźni, płatkach i pręcikach.

Kilkakrotnie poważna choroba przykuwała ją już do łoża, nasuwając obawę o jej życie. 19 stycznia 1926 roku była nieco cierpiąca. Zmierzch zimowego dnia szybko zapadał, wielkie drzewa jak ponure cienie zlewały się z ciemnością nocy. W parku szalała straszliwa wichura, wiatr gwizdał między ogołoconymi konarami, łamiąc bezlitośnie suche gałęzie. Straż nocna krążyła dookoła dworu. W oknach pałacu Hoogvorsta, zamieszkanym przez administrację, paliło się jeszcze światło. Syreny przejeżdżających szosą samochodów ryczały przeraźliwie. Okiennice żałośnie skrzypiały. Cesarzowa wsłuchiwała się z upodobaniem w odgłosy rozpętanego żywiołu. Nagle piekielny huk wstrząsnął nocą. Zdawało się, iż pałac zapadł się pod ziemię. Ciemność była tak nieprzenikniona, iż nic można było nic dojrzeć. Przybyły lekarz cesarzowej na próżno usiłował przebić wzrokiem gęsty mrok. Co się stało? Przerażona służba cicho szeptała w niesamowitym lęku.

Nazajutrz z rana, Kefer, pełniący od 30 lat obowiązki strażnika, obchodząc park, znalazł powalone drzewo. Stary olbrzym o kilkakrotnie podcementowanym pniu, padł na ziemię wyrwany przez wichurę, gniotąc swym ciężarem młode jesiony.

Żegnaj odwieczny cyprysie z Chapultepec! Świta cesarzowej, oglądając zniszczenie, dokonane przez huragan, przyjęła je za złą wróżbę. Karolina źle spała tej nocy, tętno jej było zaledwie wyczuwalne. Widziano jakiś tajemniczy związek między śmiercią starego drzewa a chorobą nieszczęśliwej cesarzowej. Wszystko wskazywało na bliski koniec. Otoczenie cesarzowej drżąc w podmuchach lodowatego wiatru, szeptało o tajemniczych siłach, które kierowały losem monarchini. Ileż w nim było nawrotu wypadków, przesądnych zwid, niepojętego zbiegu okoliczności? Cyfra siedem powtarzała się nieustannie w najważniejszych datach życia Karoliny. Urodzona 7 czerwca 1840, zawarła małżeństwo w 1857, śmierć Maksymiliana w 1867, upadek cesarstwa Francuzów w 1870, klęska Imperium Rosyjskiego w 1917. A pozatem dziwne powtarzanie się wypadków w dziesięcioletnich okresach. Nie-

Ciąg dalszy na str. 933.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

WIERSZ

JWPANI RED. KRZYCKIEJ — AUTOR

Mały czyściutki pokoik
Z widokiem na podwórko —
Szafa, maszyna, półeczki
I trzy dębowe biurka.

Cicho, przytulnie i miło,
Wokół wre mrówcza praca —
(„Przedstawię pana p. Krzyckiej,
O, właśnie w tej chwili wraca!")

Wymiana uścisku dłoni,
Miłe, serdeczne słowa.
Jak złoto każdą radę
Mozolnie w mózgu chowam.

Tak miło i przyjemnie;
Krzycowski, mały świat!
Tu nie zna nikt obłudy
I nie rozumie zdrad!

Unosi mnie wkrótce autobus,
Lecz żal się puszczać w drogę...
Jak szkoda, że na stałe
Pozostać tu nie mogę.

Wicher mi liśćmi powiewa,
jak dziewczę drobnymi rękami...
Zatęsknisz, panie Płóciennik, zatęsknisz
Za Pałuczaninami!

Obecnie siedzę przy biurku,
Snuje się wspomnień mowa...
I w dowód mojej wdzięczności,
Przesyłam miłe słowa...

Więc w drogę mój wierszyku:
Poznań — Gniezno, Gniezno — Żnin.
Gdy wyślę cię dziś wieczorem,
Już jutro będziesz w nim!

Jan Feliks Płóciennik.

DOBRE RADY PANI ZOFII

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są p. p.: „Czarny Hajduczek", „Honorata", „Słowianka", „Maruta", „Marzące Oczy", „Feli", „Starsza smutna Ela"; „Educh — harcerz", „Efzet", „Blondyn spod Grudziądza", „Nieznany Cygan", „Podchorąży z Grudziądza", „Wit z Poznania", „Zadumana Renata".

KTO WIE?!

„Szatynka z Podlasia" tak pisze o sobie: „Jestem jak samotna wierzba nad brzegiem ruczaju. Nikt jej nie zna i nie rozumie. A wicher jesienny gnie jej gałązki, a słońce całuje obnażone konary. I tylko Bóg Najwyższy widzi samotność duszy i boleje nad tym!"

Proszę nie poddawać się tak bardzo ostrym podmuchom jesiennego wichru, lecz wierzyć, że dobra wierzba cierpliwie przetrwa najsroższe burze, aby tylko móc z wiosną poczuć na swych gałązkach słodkie pocałunki słońca! Tego słońca, które jest życiodajne!!!

Sprawę ogłoszenia zareferowałam osobom kompetentnym.

Na razie kończę, a w przyszłości pomówimy znowu z sobą obszernie.

„Halo! Czy kto z miłych członków „Krainy" nie wie o miejscu pobytu p. Tamary Październickiej, która ukończyła wydział medycyny? Podobno wyjechała za granicę, wyszła za mąż, a obecnie przebywa znowu w kraju.

Jest ona koleżanką moją jeszcze z czasów szkolnych. Proszę o łaskawe przesłanie ewentualnych informacyj do p. Zofii.

Pozdrawiam serdecznie i całuję „Białą Brzózkę" i ślę serdeczności dla całej „Rodzinki", włącznie z „Królewiczem z bajki". Przykro mi, że nikt do mnie nie pisze, widocznie nie odpowiadam pod względem zapatrywań na życie".



Kogoż nie uraduje miłe zdjęcie sarniej rodzinki, wyhodowanej przez pana Szklarka w leśniczówce Dębno, powiat Rawicz.

DESZCZ WSPOMNIENIA...

Tak samo dzwoni deszcz
o szyby szklane,
gdym wypisywał twe imię
kroplami srebrnymi...
— kochana...
tak samo!

Tak samo dzwoni deszcz,
cichy szemrzący...
tak samo płacze wiatr
w liściach powiędłych od smutku,
w poszeptach miłujących...

Pamiętasz jeszcze ten wiersz
pachnący deszczem jesiennym,
pamiętasz jeszcze tę noc
ukołysaną sennie?
Tak samo, jak wtenczas,
deszcz
dzwoni
o szyby...
jesienny deszcz!...

I takim samym zwątpieniem
ogarnia mię twej miłości
spóźniony zmierzch — — —

Noc — głucha noc...
jednostajnie,
cicho
pada
deszcz...

Józef Baranowski.

CO Z OBIETNICĄ?

„Szukający Podchorąży". Pocztówką zawiadziłeś mi Pan, żeś zdałeś ostatni egzamin na lekarza, a potem listem doniosłeś o uroczystej nominacji na podporucznika — lekarza. Jakże miło było mi otrzymać tę wiadomość. Zresztą cały Twój list jest, jak wszystkie poprzednie, ogromnie miły i taki specyficznie Twój!

Jedno tylko zastanawia mnie, mianowicie, że nie zrealizował Pan obietnicy powtórnego przyjazdu — czy wyłoniły się jakieś poważne przeszkody?

Podzielam Twój entuzjazm, co do najmilszej z poznanych korespondencyjnie „Krainianek". Jeżeli zaś chodzi o wyszukanie reszty krainiackich „pereł", to z uśmiechem muszę stwierdzić, że ma Pan w tym kierunku specjalniejsze umiejętności i pomoc moja jest tu naprawdę zbędna. Fotografię Pana zamieszczę w „Krainie" w myśl zezwolenia — pamięta Pan chyba?

Pozdrawiam Pana serdecznie i oczekuję opisu dalszych Jego perypetyj w wędrówce po obszarach naszej „Krainy".

Personel naszych zakładów odwzajemnia sympatyczne serdeczności!

TOALETA W KOLORZE NIEBIESKIM

„Złośnica". Chwała Bogu, że podleczyłaś już trochę tę chorobę serca i że egzaminy zdałaś gładko!

Prosisz mnie o radę, jaką masz sobie sprawić toaletę balową na karnawał — otóż powiem Ci, że brunetki dobrze wyglądają w sukniach z tafty w odcieniu złotawym, koralowym lub różowym. Zawsze modna jest wieczorowa suknia czarna, przybrana jakimś mocnym w kolorze kwiatem. Ponadto dobrze prezentuje się suknia z błękitnego crêpe satin. Tak myślę, że w tej ostatniej wyglądałabyś najkorzystniej.

Pozdrawiam Cię życzliwym uśmiechem i przechodzę do komunikatów:

„En - Ka". Pyta Pan, czy pseudonim odpowiada mojemu usposobieniu. Otóż teraz już trochę mniej, ale dawniej był mocno aktualny. List Pana sprawiłby mi wielką radość, no a odpowiedź pewna!

Dla całej „Krainy" serdeczności!"

CZEKAM!

„Królewicz z bajki". Dlaczego nie przysłałeś, cny królewiczu, powieści swoich do oceny?

Numer Twego dawniejszego pisemka otrzymałam — nieźle tam piszesz, ale... to jeszcze nie dowód, że powieść Twoja może być napisana bez zarzutu. Zresztą nie mogę na ten temat nic w ogóle powiedzieć, bo nie czytałam żadnej z Twoich prac, napisanych już w wieku dojrzałym. Tamte szkolne utworki nie mogą być brane pod uwagę, gdyż od tego czasu trzeba było zrobić ogromne postępy w tej dziedzinie.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i czekam na bodajże słowo!

URADOWAŁ MNIE BARDZO!

„Marzenka z Ameryki". Nie masz pojęcia, Maleńka, jak bardzo uradował mnie list od Ciebie — tak dawno już nie miałam żadnej o Tobie wiadomości, więc tym bardziej ucieszyłam się, gdy zobaczyłam znane mi literki na mocnym, amerykańskim wypisane papierze!

Jak to cudownie, że czujesz się tak dobrze pod opieką drogiego Ci Wujka i że powoli miejsce jego zamieszkania staje się i Twoim rodzinnym kątkiem! Masz teraz dwie ojczyzny i dwa gniazda rodzinne, a oba mocno kochasz.



A oto p. Szklarek i jego Siostra stają przed obiektywem aparatu fotograficznego w towarzystwie swych czworonogich przyjaciół.

Niewątpliwie dobrze czynisz, że przykładasz się tak bardzo do należytego poznania języka angielskiego, tudzież wszystkiego, co jest związane z krajem, w którym teraz żyjesz. Zaznaczyć ponadto muszę z największym zadowoleniem, że niemniej dobrze czynisz, iż nie zrywasz kontaktu ze starym krajem, a co więcej, przyrzekasz nigdy nie zerwać! Tak mnie to cieszy, że mogłabym w porywie entuzjastycznym przerzucić ręce przez oddzielający nas ocean i uściskać Cię w tym dalekim City!

Opłata za prenumeratę wpłynęła, masz „M. Powieści" opłacone do grudnia br. włącznie. Numery brakujące Ci kazałam już wysłać.

Nie, „Pell" nie jest tym, o kim myślisz!

Z przyjemnością donoszę Ci też, że Wujek Janusz wzruszył się bardzo Twoją o nim pamięcią i prosił powiedzieć, że serdecznie całuje Twoje rączki i życzy jednej, nieustającej pomyślności!

Co do mnie, to przyciskam Cię do serca i niecierpliwie oczekuję dalszych dobrych wiadomości!

Reprodukcje nadesłanych zdjęć dam wkrótce w „Krainie", a teraz zamieszczam komunikaty:

Kochani „Krainiacy"! Chociaż długo nie pisałam do „Krainy", jednak z zainteresowaniem śledziłam każde Wasze słówko w „Krainie szczerości i naszych trosk".

Jak było, Drodzy Moi na Waszym zjeździe w Żninie? Dajcie reportaż na łamach „Krainy".

Za pozdrowienia „Barci" i „Bogdy" dziękuję i odwzajemniam je szczerze. W jakiej części Polski mieszkają Panie?...

Serdeczne pozdrowienia przesyłam i JWP. Glińskim i p. Wandzie Kurowskiej z Warszawy, dalej Jadzi Klarówne, zamieszkałej w pow. obornickim, dawniej w M., p. Gabrieli Wesołowskiej, Helci Dąbrowskiej i „Humorystce".

Kaziu, czy byłaś na zjeździe?

Pozdrawiam „Czarnooką Wandę", „Bursztynowe Serduszko", „Zapomnianą Sylenę", „Samotną Rusałkę" i „Lang-Cheng". „Smutna i Brzydka Irko"! Zainteresowałam się Panią. Może skrobnie Pani wesoły liścik? Łączę pozdrowienia.

„Elem n. Notecią"! Dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam. Czy Pan zna miasteczko M. lub przebywał tam kiedyś?

Panie M. Grzegorski! Co tam nowego i co słychać u Pana na Śląsku?

Dlaczego wierszy Pana jest coraz mniej w „Moich Powieściach"? Pozdrawiam. Proszę nie milczeć!

Panu Adamowi Czekalskiemu bardzo dziękuję za wymienienie mnie w wierszu, dedykowanym Jego koledze w Toledo - Ohio U. S. A. w numerze 19-tym „Moich Powieści".

Dla całej „Krainy" miły uśmiech!"

ŻAL...

Gdy już na ziemi lata nie staje
I złocić się zacznie błoń,
Wtedy jesieni cichej podaję,
Jak siostrze swej miłej, dłoń.

I odtąd razem z nią tęsknić muszę,
Razem prząść barwnych złud sny,
Lub w świat błękitów nieść swoją duszę,
Jak ranek przędziwa mgły.

A gdy już jesień w nicość odchodzi
I zrywa dni swoich nić,
To wtedy za mną żal jakiś brodzi,
Że muszę tęsknić i — być.

Że muszę dalej skarżyć się cicho
I w dal niepewną iść,
Że moich marzeń barwne kielichy,
Tak mrą, jak ten blady liść...

Maria Zemmlerówna.

WYTRWASZ!

„S. 13". Musisz wytrwać, Mój dobry Przyjacielu, i zdobyć to, co sobie zamierzyłeś!

Przedsięwzięcie to nie należy do łatwych — wiem, ale wiem też, że Ty nie jesteś z kategorii ludzi chwiejnych i niewiedzących, czego chcą. Przeciwnie, mocno, twardo i przede wszystkim uczciwie umiesz przeć do celu, a to znaczy tyle, jakbyś już połowę swych zamierzeń miał w kieszeni.

Pisz i nie trać zapału w swej pracy!

Komunikaty:

„Halo „Marteczko" — gdybyś była na zjeździe, to na pewno spotkałabyś znane twarze „Ziuk" — est mort.

„Zazo" — milutkie pozdrowienie. List wysłałem.

„Leno" — czy jesteś jeszcze w Żninie? Wysłałem list pod dawnym adresem.

„Zoniu" — czy jesteś jeszcze u cioci, czy już w domu? Gdzie mam pisać? Mój stary adres też jeszcze aktualny. Proszę o danie odpowiedzi!"

CIĘŻKA SPRAWA

„Góralka II." Ciężka to sprawa, ta choroba Twojej Mateczki, proszę Boga, aby Wam dopomógł, bo tylko w Jego mocy leży zmiana na lepsze.

To ładnie, że Ci dwaj przyjaciele „Krainy" odwiedzili Cię w Twej samotni.

Za zdjęcie dziękuję, włożyłam je do albumu na pamiątkę.

Pozdrawiam Cię i przedrukowuję komunikaty:

„Maruto" dlaczego nic do mnie piszesz, czy już zapomniałaś o mnie? Co słychać nowego u Ciebie?

„Alchemiku" — napisz do mnie. Mieszkamy niedaleko od siebie, może się zobaczymy?

„Kalino" — jeśli możesz, napisz do mnie kilka słów.

„Pell". Jak spędziłeś urlop? Czy wszystko w porządku? Może napiszesz list do mnie?

Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków" z prośbą, by do mnie pisali — odpowiedz murowana".

NAPISZCIE!

„Irusia z Wołynia". Wierszyk Twój oddałam Wujkowi Januszowi do oceny, ale zdaje się, że nie będzie na razie aktualny — przysłałaś go za późno.

Zadowolona jestem, że Twoja choroba skończyła się tak pomyślnie.

Fotografię Twoją zamieszczę w jednym z najbliższych numerów.

Bywaj mi! A teraz Twój apel!

Halo! „Krainianki" i „Krainiacy"! Kocham Was i proszę napiszcie! Jestem już stara i brzydka i niezgrabna i w ogóle, ale jeszcze pragnę mieć przyjaciół. Ściskam Was z całego serca".

KTO Z WAS?

„Pokrewny duch". Nie ma niełaski i nie ma powodu do niej! Ale jest zatrzęsienie pracy i jedna tylko para oczu plus jedna para rąk i jedna głowa, oraz jedno przepełnione Wami serce. Czy mi wierzysz? Nie wątpię! Zatem całuję Cię na przyjęcie do naszej „Rodzinki" i zamieszczam Twój apel:

„Halo! Mili „Krainiacy"! Dostałam się na Śląsk (blisko Katowic) i nie znam tu prawie nikogo. Mam lat 25, wrodzony humor i wesołą życiową. Chciałabym wyszukać tu pokrewne sobie duchy (tak żeńskie, jak i męskie). Otóż — kto z Was ma duszę subtelną, wrażliwą, głęboką, umiłowanie wiedzy, podróży, muzyki i tańca (lubię pracę, ale też i taniec); kto jest zrównoważony, o pogodnym, wesołym usposobieniu, kto jest dzielny w życiu — niech do mnie napisze! Czekam i pozdrawiam najmilej całą „Krainę".

NIE PESZĘ SIĘ ŁATWO!

„Biały Wrzos". No już nie smuć się, Słodkie Maleństwo, bo już teraz zostałaś przyjęta w nasze szeregi i pozostaje Ci już tylko równo, bez omyłek i potykań w nich kroczyć.

Myślisz, Smyku Mały, że pogniewałabym się lub przestraszyła Twojej nagłej wizyty w redakcji? Ależ ucieszyłabym się mocno i uściskiem odpowiedziała na ten groźny uścisk. Mam to do siebie, że nie peszę się zbyt łatwo.

Ładny wybrałaś sobie pseudonim — lubię wrzosy. Wyłania się stąd niejaka perspektywa, że i Ciebie będę lubić. Przyślij mi dokładny swój adres!

Całuję Cię i polecam „Rodzince"!

SŁYSZĘ!

„Złoty Dzwoneczek". Słyszę to delikatne dzwonienie, Ty mój miły Dzwoneczku, i serce mnie boli, że nie mogę jeszcze odpowiedzieć na Twój i „Helusieńki" liścik. Proszę okazać jeszcze chwilę cierpliwości, a wynagrodzę Wam długie czekanie miłą odpowiedzią. Zgoda?

Całuję Ciebie i „Helusieńkę" bardzo serdecznie!

SZCZĘŚCIA I POMYŚLNOŚCI

Państwu Kazimierze i Leonowi Mąkom z Potulic życzę szczęścia i pomyślności na nowej drodze życia!

PIEŚŃ MIŁOSNA

Ty jesteś piękna, jak zorza, —
a tak boląca, jak rana.
Przez ciebie cudnie zakwita —
kraina snów malowana.

Włożyłem ciebie w mą duszę,
jak kwiat stulistny, jak zorzę.
Lecz zorza krwią zapłonęła,
kwiat cierniem serce mi orze —

I woła każda do ciebie
krwi kropla sercem spłakana:
„Ty jesteś piękna, jak zorza,
a tak boląca, jak rana..."

Zbigniew Wicherek.

CZY KORESPONDUJESZ?

„Miguela". No, Dziecino, przyjętą już zostałaś do naszej „Rodzinki", a czujesz się w niej, jak przypuszczam, dobrze — czyż nie tak?

Napisz mi, czy nawiązałaś już z kimś regularną korespondencję i czy daje Ci ona zadowolenie.

Pozdrawiam Cię miłe!

PRZYJMĘ!

„Janlen". Przyjmuję Pana do naszego grona z miłym życzeniem, abyś czuł się w nim równie dobrze, jak nasi młodzi sympatycy.

To, że jest Pan starszy od ogółu naszych „Krainiaków" nie powinno stanowić wielkiej przeszkody w nawiązaniu nici przyjaźni.

Numery brakujące zleciłam wysłać Panu!

Pozdrawiam i czekam na następny list!

CIEPŁY UŚMIECH DLA CIEBIE!

„Mary". Fotografię Twoją odnalazłam już i dam ją niedługo w „Krainie".

Ładnie się złożyło, że wstąpiłaś do rodziny rezerwistów, przynajmniej będziesz miała nieco więcej urozmaicenia i rozrywki w swoim szarym, pracowitym życiu.

Posyłam Ci moc dobrych życzeń i ciepły uśmiech!

CO JEST PRZYCZYNĄ?

„Mogilnianka". Czy znowu ogarnęło Cię lenistwo i nie chce Ci się nawet „mrugać", jak to określiłaś w swym liście? Myślę, że to właśnie lenistwo jest przyczyną Twego przedłużonego milczenia, Mały Ty Smyku!

„Jesienny Wichrze", za dowody pamięci i pozdrowienia ślicznie dziękuję, lecz gdzie list? Czyżby fotosy przestraszyły? Pamiętaj, ja oczekuję z dnia na dzień listu i fotosów.

„Dyktatorze" za list serdecznie dziękuję, z całą przyjemnością pogawędziłabym — ale rzuciłeś mi votum nieufności — namyśl się i napisz powtórnie na poste - restante, czołem!

„Bi-Ka" wybacz mój nadzwyczajny wybryk — nie miałam zamiaru urazić. Pchnęła mną chęć pogawędzenia i nic z tego. A może zawarlibyśmy kontakt listowny; wiem, że dużo zyskałabym. Zdaje się byłeś kiedyś w M., czy tak? Odpowiedz.

„Blanko"! Dziewuszko Kochana, ściskam i całuję Cię — napisałabym chętnie, lecz czuję tremę, może uczynisz to pierwsza? Pomyśl nad tym i napisz na poste - restante.

„Te - Em" na pewno mylisz się. Mam 100 proc. pewności, że tak jest — lecz niech będzie tak — złudzenie często jest dobre.

„Taki jeden" — przyjmij moc serdecznych pozdrowień!

Wszyscy, którzy przysłali mi na łamach „Krainy" słów kilka, niech przyjmą miłe pozdrowienia i podziękowania, a kto chce niech pisze na: Poste - restante, dla „Mogilnianki". Mogilno".

APEL ZAMIESZCZAM

„Stenia". Przyjmuję Cię do „Krainy" i zamieszczam Twój apel:

„Pragnę znaleźć w „Krainie szczerości" dobrą przyjaciółkę, lub dobrego przyjaciela, dlatego też proszę, aby „Krainiacy" pisali do mnie. Avery'emu z roku 1936 przesyłam pozdrowienia i proszę o skreślenie kilku słów. Dla wszystkich czytelniczek i czytelników — przesyłam moc serdecznych pozdrowień!"

PRAGNĘ!...

„Samotna Konwalia". Doprawdy ciężko ułożyło Ci się życie, Kochana Ty Moja! Ale chciej zrozumieć, że śmierć niezawsze jest nieszczęściem dla ludzi, zwłaszcza dla tych steranych długim życiem i chorobą. Zawsze o tym myśl, gdy ból i tęsknota za zmarłą Twą

Matką będą Cię obezwładniały. Masz zresztą takie mnóstwo pracy, że z czasem zagłuszy ona krwawiącą ranę Twego serca. Pamiętaj o Twej drogiej zmarłej zawsze, ale nie pozwalaj się przygnębiać rozpaczą.

Pisz do mnie często, pragnę pocieszyć Cię dobrym słowem i żywą pamięcią.

„Krainiakom" z okolic Gdyni i Wejherowa donoszę, że pragniesz, aby pisali do Ciebie.

„En-ka" i „Wiryt" mają specjalne pozdrowienia.

Z IMIENIN...

„Indira". Serdecznie dziękuję Ci w imieniu „Krainy", Wujka Janusza i swoim za pozdrowienia, nadesłane z Lwiego Grodu!

Pisz proszę — czekam!

HALO!

„Halo! — „Pell" — tu „Czarnulka ze Świecia"! Ślę Ci moc pozdrowień. Czy nie nadarzy się czasem okazja do zwiedzenia Świecia? — Napisz".

UCIECZKA DO SAMOTNOSCI

Błogosławiona godzina milczenia,
Błogosławiony pokój — wielkiej ciszy!
Ten je ocenia...
Któremu serce niepokojem dyszy.

W wieczornej porze — szuka on schronienia
W małej izdebce,
Gdy mu go w ucho jeno serce własne
Cichutko szepce...

Szał uniesienia, złudne blaski gasną
Wobec pokoju bożego natchnienia —
Kiedy dla siebie pióro tylko pisze —
Błogosławiony pokój — wielkiej ciszy!

Błogosławiona godzina milczenia
W małej izdebce...
Gdy ci do ucha jeno serce własne
Cichutko szepce...

Eugeniusz Kłosowski.

ŚLĘ CI SŁOWA SYMPATII

„Zaza". Cieszę się, że zdecydowałaś się jednak nie porzucać swej pracy, a może znalazłaś inną?

A co z Twoimi warkoczami, czy zmuszona byłaś je obciąć, po tym przebrzydłym tyfusie? Patrzę na Twoją podobiznę i uśmiecham się do niej. Ładniutka jesteś!

Ależ pisz jak najwięcej bez obawy, że mnie zanudzisz i przyjmij wyrazy sympatii!

„Zuch-Dziewczyna"! Ślę Ci milutkie pozdrowienia. Może skrobniesz kilka słów do mnie?

Pozdrawiam wszystkich serdecznie, a szczególnie „Kropelkę leśnej rosy", „Blankę", „Białą Uajali", „Ziuka" i „Kazimierza Junoszyca".

NAPISZ MI DUŻO!

„Avery". Jak z Twoim skaleczonym paluszkiem, Dziewczynko, czy nie ma już śladu po ranie? A w domu już byłaś? Napisz mi dużo o sobie, bo już zupełnie straciłam orientację w sprawach Cię dotyczących.

Nie daję wszystkich Twoich komunikatów z powodu, że straciły już na aktualności.

Całuję Cię i czekam!

„Rozśpiewana Izabello". Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam. Może skrobniesz liścik? Jak z Poznaniem?

„Chińskie Oczęta". Ktoś znajomy pozdrawia!

„Iste". Dużo słów uznania za milutkie wierszyki. Byłabym bardzo, bardzo zadowolona, gdyby chociaż jeden króciutki wierszyk został mi poświęcony.

„Waldemiro"! Ktoś Ty? Zdaje się, że mieszkamy blisko siebie. Napisz, a przekonasz się!

DO GRONA!

„Wesoła Blondyneczka". Przyjmuję Cię do naszego grona i przedstawiam „Krainie".

Nowa nasza sympatyczka jest jasną blondynką, bardzo jeszcze młodą i — co ważniejsze — ogromnie miłą.

Jedno mam wszelako co do niej zastrzeżenie, to mianowicie, że nie podała mi swego adresu. Na następny list bez adresu nie odpowiem. Proszę o tym pamiętać!

„Biała Uajali" — podoba mi się Twój pseudonim i Twoje wierszyki także! Przyjmij pozdrowienia!

„Królewiczu z bajki" — podobasz mi się! Może napiszesz coś do mnie? Odpowiedź więcej jak murowana. Przyjmij piękny uśmiech i pozdrowienia od „Wesołej Blondyneczki"!

MAM SENTYMENT DO POLESIA

„Tina". Przyjmuję Panią do „Krainy" i oznajmiam, że fotografię włożyłam do albumu, gdyż na reprodukcję się nie nadaje.

Wierszyk Twój za słaby do druku, ale możesz próbować dalej swych sił; nie święci garnki lepią!

Jesteś więc z Polesia? Napisz mi dużo o tej połaci naszego kraju, mam do niej sentyment i pragnę się tam wybrać kiedyś na spędzenie wakacyj.

Na razie pozdrawiam Cię jasnym uśmiechem i czekam na nową wiadomość!

OWSZEM!

„Nell z Bydgoszczy". Owszem, ja też Cię już lubię, a nie wątpię, że im więcej będziemy z sobą rozmawiały, tym bardziej będzie wzrastała wzajemna sympatia!

„Przedwiośnie". Ładne jest to powiedzonko, co? „...Przyjaźń czasową nie uważam za prawdziwą, gdyż przyjaźń prawdziwa trwa wiecznie. A wszak nasza przyjaźń jest prawdziwa — przyrzekam to Tobie i pozostanę jej zawsze wierną". I gdzie to przyrzeczenie? gdzie? Pozdrawiam i nie zapomnę!

„Sztubaku spod lasu", dlaczego milczysz? Odpisz proszę!

„Smutny Sztubaku". Serdecznie Cię pozdrawiam. Czy jeszcze chodzisz do budy?

„Młody Orle", podziwiam i zazdroszczę, że możesz latać. Gdybym ja tak mogła? Przyjmij serdeczny uścisk dłoni.

Panie S. R. z Boguszyna, dlaczego milczysz? Pozdrawiam!

Pozatem ślę pozdrowienia dla „Włada", „Blanki", „P. Junoszyca", „Wirryta" i wszystkich w „Krainie"!

NIE SĄDZĘ!...

„Biała Uajali". Mam przed sobą list Twój, pisany jeszcze w sierpniu i tak sobie myślę, że nie będą go szerzej omawiała, gdyż dużo już od tego czasu zmieniło się w Twym życiu. Komunikatów też nie zamieszczę, bo nie sądzę, aby były jeszcze aktualne. Jeżeli masz coś do zakomunikowania „Krainiakom", napisz i przyślij, a może uda mi się to szybciej załatwić niż ten dzisiejszy list.

Pozdrawiam Cię miłym uśmiechem i czekam!

DOSTAŁAM!

„Jagódka Leśna". Nie zawiadamiam „Krainiaków", aby ponownie wysłali Ci te listy, które wróciły się z poste-restante, gdyż jest to już, jak sądzę, nieaktualne.

Listy Twoje dostałam.

Oczekuję od Ciebie długiego listu — pamiętaj!

„Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla: p. „Kazimierza Junoszyca", „En-ki", P. B. L. z Pomorza, „Barona Cygańskiego", „Stepowego Płomienia", „Wołyniaka", „Revelersa", „Leszka z Zielony Doliny" i proszę ich o listy!"

OBY!...

„Kalina". Cieszy mnie, że postanowiłaś podjąć srogą walkę z tak bardzo gnębiącym Cię pesymizmem. Oby skutek uwieńczył tę walkę taki, abym nawet ja była nim zachwycona.

Pa, Dziecino!

„W czym mylą pozory, „Przybłędo leśny"? Zaryzykuj pierwszy i napisz do mnie — dobrze?

Pozdrawiam serdecznie „Ankę z Kieleckiego".

„Wit z Poznania" — serwus — czekam odpowiedzi!

Czy nie napisałby do mnie ktoś z Kieleckiego? Może przemiłe czytelniczki naszej „Krainy" dadzą się skusić?"

PA!

„Maryjka" przesyła serdeczne pozdrowienia dla „Krainianek" i „Krainiaków" oraz oznajmia, że bardzo podoba jej się nasza „Kraina".

List Twój dostałam. Napisz trochę więcej i pa!

WSZYSTKIM!

„Złoteńko". Przytaczam poniżej słowa, pisane przez Ciebie już dość dawno i pytam się, gdzie tu słowność?!...

Czekam i całuję!

„Słodka Pani Zosiu!

Ocknąwszy się, po długiej, długiej, przerwie, skreślam na razie kilka słów. Proszę się nie gniewać na mnie. Kocham Panią i całą „Krainkę", jak dawniej — tak mocno, mocno! Smutno tylko mi było i taki ciężki słoń był ze mnie. Chcę się stać znów wesołą, lekką, swobodną. I dlatego serdecznie pozdrawiam wszystkie wesołe smutne i dobre siostrzyczki — a wszystkim Stefkom i leśnikom przesyłam śliczne pa!

Panią Zosię mocno całuję i zapewniam, że wkrótce znów napiszę".

KOMUNIKATY

„Blady Kwiat". Pozdrawiam Pana i zamieszczam Jego komunikaty:

„Nina-harcerka". Zainteresowałem się Druhną. Chętnie bym napisał, lecz nie znam adresu... Może Druhna odważy się pierwsza?... Tymczasem pozdrawiam Druhnę naszym „Czuwajem".

„Przybłęda leśny"... Może Pan byłby łaskaw podać mi bliższe adresy „Rozkosznej Blondyneczki" i „Ulsena"?

Dla całej „Krainy" moc pozdrowień! Harcerkom i harcerzom — „Czuwaj!"

POWIEDZ!...

„Samotny Agronom". Proszę mi powiedzieć, czy udało się Panu zrealizować owe ważne zamiary i plany, o których mi pisałeś? Bardzo mnie to ciekawi.

Życzę Panu pomyślności!

OZNAJMIAM!

„Amerykaninowi" dziękuję za miłe pozdrowienia dla całej „Krainy", Wujka Janusza i dla mnie i oznajmiam, że list dosłałam na właściwy adres.

TECZKA wuja Janusza

NIE WSZYSTKIE!

„Dziewczynka z zaklętego młyna". Z wierszyków nadesłanych mi przez Ciebie, niewszystkie pójdą do druku. Za słaby np. jest ten poświęcony Twej Babci.

No, ale Ty się tym nie będziesz zbytnio przejmowała, tylko napiszesz w jego miejsce kilka innych i basta! Prawda?

Posyłam Ci najprzyjaźniejszy w świecie uśmiech!

POPROSZĘ!..

Deszcz pada, na dworze zimno i słota,
Wicher jęczy, gnie drzewa.
W łachmany okryta idzie pewnie sierota,
Płacze, czy śpiewa?

Ubiorę się ciepło i wyjdę, zobaczę,
Może jej ulżę w niedoli,
I nad ludzką nędzą z nią razem zapłaczę,
Może ją będzie mniej boleć?

Wyjdę, poproszę, ją do mojej chatki,
By odpoczęła po trudzie,
Dam jej gościnę, dam jej ciepłe szatki,
Niech wie, że są jeszcze ludzie!

Niech serce sieroty z radości się śmieje,
Niech łzy obeschną potroszę,
I do dalszego życia niechaj ma nadzieję,
Pójdę ją poproszę!

St. Justyńska.

DO KOSZA!

„Sten". Wiersz, zatytułowany „Wieczorem" za słaby jest do druku. Przeznaczyłem go raczej do kosza.

Pozdrawiam!

DLA ZACHĘTY

„Leon". Z wierszyków, nadesłanych mi przez Pana, do druku wybrałem tylko jeden, ale i ten jedynie dla zachęty, bo po dobrej sprawie, powinien i on znaleźć się w koszu!

Pozdrawiam Pana!

JESIEŃ...

Dni są krótsze...
Zmęczone długą pracą słońce
Później wstaje, do snu idzie smutne
...Zda się zawsze śpiące.

Puste pola osnute mgłą,
Czasem tylko zakracze wrona.
Tęsknie szemrze rzeczka doliną
...Lato powoli kona.

Do serca się tęsknota wkrada.
Do oczu cisną się żalu łzy.
Już zmierzch jesienny zapada
...Jestem sam... odeszłaś nawet Ty...

„Leon".

DO I. K. P.

„Edek". Z wierszyków Pana do druku wybrałem ten zatytułowany „Kropelka". Jest tak dowcipny w temacie, że podarowałem mu wszystkie inne niedociągnięcia. Reszta wierszy skazana na stos ofiarny!

Rysunki dałem redakcji I. K. P. do ewentualnego wykorzystania.

Posyłam Panu mocny uścisk prawicy!

KROPELKA

Kropelka srebrzysta, mała,
Atłasowym tchnąca cieniem,
Z lekka w szybę zapukała
I czystym zalśniła spojrzeniem.

Mrugnęła raz, drugi, trzeci...
Aż się nieboga zmieszała,
Którędy teraz przeleci?
Szyba nieduża, lecz cała!

Na dół więc zwolna płynęła,
Znacząc po sobie ślad łezki.
Przy przeszkodzie przystanęła
I nowej szukała ścieżki.

Ostatnia to była droga,
Ostatnie kropli westchnienie,
Ostatnie, bo oto śmierć sroga
Ostatnie spełniła życzenia!

„Edek".

NIE CHCĘ BYĆ ZBYT SUROWYM!

„Samotny Wędrowiec II". Słusznie Pan zauważył, że wiersz Jego jest jeszcze ogromnie słaby, ale z uwagi, że to pierwsza próba w tym kierunku, nie chcę być zbyt surowym i zamieszczam go w „Teczce".

Pozdrawiam Pana i przedrukowuję Jego komunikat:

„Halo „Aramisie"! Dawny znajomy, lecz przez Ciebie zapomniany, śle krzepki uścisk dłoni!"

NIE PISZ DO MNIE!

Ach! nie pisz do mnie listów więcej...
Bo na cóż łudzić się daremnie.
Dzisiaj, los zadrwił sobie ze mnie,
Każąc mi żyć w ciągłej udręce,
Że, załamałem się w tej męce —
Odeszłaś... Mówisz że tak być musiało,
Że słodzić będziesz czas listami,
Że szczęście dawno już za nami
A walkę z losem mam podjąć śmiało,
I wierzyć, że tak być musiało.
Ostatnie me słowa, a mówię szczerze —
Życie to nie bajka, ni świat czarów.
I gdy się jest jednym z opadłych Ikarów
Choć ślesz słów tyle na papierze
Ja i listom Twym nie wierzę!

„Samotny Wędrowiec II".

PROSZĘ PRZYSŁAĆ

E. Misiągiewiczówna. Wierszyk Pani pt. „Tęsknota" bardzo uczuciowy i wymowny — daję go poniżej.

Proszę przysyłać mi i dalsze swoje utworki, chętnie będę je oceniał.

Na razie posyłam uprzejme ukłony.

TĘSKNOTA

Zabrzmiał akord ostatni i bezwładne ręce
Opadły na klawisze — tylko, jakby w męce,
Jakaś struna drży jeszcze, uporczywie jęczy,
Chociaż pieśń już przebrzmiała, chociaż nie gram więcej!
I jakąś inną strunę w mym sercu porusza,
Aż wreszcie moja także zapłakała dusza,
Aż wreszcie mnie opadła bezmierna tęsknica...
Zapłakała cichutko dusza — samotnica...
A za oknem wiatr głośnym zawtórzył jej śmiechem,
Co zgryźliwym w pokoju odezwał się echem
Szyderstwem zmrożone ścichło struny łkanie...
Tylko deszczu za oknem słyszę chlupotanie...
Jednostajnie, miarowo szemrze dzisiaj słota,
A w pokoju zdradziecka czai się tęsknota...

E. Misiągiewiczówna.

ŻYCZĘ WYTRWANIA

J. Czechowska. Mam tu trzy Pani wierszyki, z których do druku wybrałem jeden, mianowicie ten zatytułowany „Wigilia". Dwa pozostałe znalazły pomieszczenie w czeluściach kosza.

Wybrany wierszyk ukaże się w druku w odpowiednim czasie.

Proszę nie ustawać w pracy i przysyłać mi wszystko, co Pani napisze.

Przyjaźnie ściskam Pani dłoń i życzę wytrwania!

CZEKAM!

„Iste Venus". Wierszyk Pani pt. „Bez słów" ma iskrę, ale równocześnie jeszcze tyle niedociągnięć, że nie mogę go przeznaczyć do druku.

Może inne będą szczęśliwsze od tego, czego Ci naprawdę życzę!

Posyłam Pani życzliwy uśmiech i czekam na list!

TONY SKRZYPIEC

Słyszę tony skrzypiec dalekie, łkające,
Melodia ich smętna z głębin serca płynie,
To młodego cygana smukłe palce, drżące...
Pieśń miłosną grają nieznanej dziewczynie.

Lecz ona, czy głucha na tę serca mowę,
Czy dźwięków tych cudnych nie słyszy?...
Urwał nagle, na pierś schylił piękną głowę,
Zasłuchany w głęboką ciszę.

I od dnia tego nie słyszałam skrzypiec,
Co grały tak cicho, żałośnie...
Cygan w świat poszedł, by szukać dziewczyny
I grać dla niej pieśń szczęścia radośnie.

„Paddy incognito".

PISZ WIĘCEJ!

„Psotny Chochlik". Wierszyk Pani „Szukaj szczęścia" ma już dużo dobrych akcentów, ale trzeba by go jeszcze wygładzić, wycieniować, gdy by miał być przeznaczony do druku. Ja nie mogę tego zrobić, choćby z uwagi na brak czasu, zresztą jeżeli masz talent, to z łatwością winnaś pisać masę wierszy i jeden czy dwa skazane na nieujrzenie nigdy szpalt naszego tygodnika nie powinny sprawiać Ci różnicy.

Właśnie w tej myśli skazuję i ten omawiany i ten drugi pt. „W jesienny dzień" na całopalenie.

Pozdrawiam mile!

WIERSZYK NIEDOJRZAŁY DO DRUKU

M. Trzopówna. Wierszyk pt. „Ostatni wiersz dla Ciebie" bardzo jeszcze niedojrzały, nie mogę zakwalifikować go do druku.

Posyłam Pani serdeczne ukłony.

DESZCZ

Nisko rozwieszone ciemnych chmur kotary
przez dzień cały: smutny, bezbarwny i szary
Noc nastała mroczna; cicho deszczem płacze
i kroplami pluszcze w okna, kołacze...
Burza nadchodząca grozi błyskawicą,
co blaskiem jaśniejszym źrenice zachwycą.
Monotonia nuży — burza na odmianę.
I może po nocy da słoneczny ranek...

Danuta Albrychi.

WYBRAŁEM DO DRUKU

Z. Klepacka. Z wierszyków Pani do druku wybrałem „Dni" i ten poniższy.

Proszę i nadal przysyłać mi swoje tworzywa.

Posyłam Pani serdeczny uśmiech.

* * *

Rozsypał wiatr liście
Po błotnistej drodze —
Znaczą się ogniście
W słońca pożodze.
Samo szczere złoto,
Rzucone ubogim. —
Wdeptały je w błoto
Nasze własne nogi...

Z. Klepacka.

Z PIERWSZYM ŚNIEGIEM!

„Iwola". Z nadesłanych do mej „Teczki" wierszyków do druku wybrałem tylko „Śnieg już pokrył". Ukaże się z pierwszym śniegiem.

Pozdrawiam mile i oczekuję dalszego transportu wierszy!

UKAŻE SIĘ W „TECZCE"

„Samotny Chorzów I." Mam tu wierszyki P., z których do druku przeznaczyłem tylko jeden, zatytułowany „Pierwszy list". Reszta poszła do kosza.

Pozdrawiam Pana serdecznie!

NIE MOGĘ!

„Ferdy". Nie, nie mogę absolutnie przeznaczyć do druku wierszyka Pana pt. „Dla niej"! Sam Pan chyba czuje, że jest on niezmiernie słaby.

Posyłam mocny uścisk dłoni!

WIERSZYK SŁABY

J. Bińczakówna. Wierszyk Pani pt. „Sankami" słaby. Mam ten, który przysłała Pani już po poprawce.

Przykro mi bardzo, ale nie mogę przeznaczyć go do druku.

Posyłam Pani ukłony!

SŁABE!

L. Szajr. Wierszyki Pani pt. „Nie powiem Ci" i „Wieczorną porą"... bardzo są jeszcze słabe, nie mogę ich dać do druku.

Proszę czytać dużo dobrych poezyj w celu wyrobienia w sobie należytego wyczucia rytmu.

Pozdrawiam Panią serdecznie!



Pewna wytwórnia pirotechniczna w Anglii zbudowała wspaniały fajerwek w postaci samolotu, widocznego na zdjęciu.

rozerwalny łańcuch nieszczęść! Tajemnicza łączność między rzeczywistością a nieznanym! Sprawiedliwe wyroki najwyższego sędziego! Serja nieubłaganych wydarzeń, które zgubiwszy wszystkich tych, co ją zdradzili, pozostawiły przy życiu jedyną cesarzową. Elżbieta padła pod ciosem morderczego sztyletu; Eugenia, martwa za życia, zgasła umęczona ślepotą; cesarzowa Rosji zamordowana wraz z mężem i dziećmi!

Obalono i unicestwiono prawa dziedziczne syna Maksymiljana i Karoliny, a zemsta niebios ślepym uderzeniem obaliła innych następców tronu. Ludwik Napoleon zamordowany przez Zulusów, Rudolf ginie od samobójczej kuli w Meyerlingu, Baldwin umiera nagle w Brukseli. Trzech Habsburgów, zmarłych tragicznie, domaga się daremnie złożenia na miejsce wiecznego spoczynku w krypcie Kapucynów obok swych wybranych towarzyszek życia. Ostatnia prośba Maksymiljana, Rudolfa i Franciszka Ferdynanda nie zostaje spełniona! Zawierucha dziejowa w 1914 r. obala trzech cesarzy i zmiata z powierzchni ziemi trzy ostatnie cesarstwa. Los Karoliny, uwięzionej tragedią życia w wielkim parku w Bouchout, zaciążył na przeznaczeniu Piusa IX i Napoleona III!

A oprócz tych klęsk, skandale, wypadki obłędu, zgony od skrytobójczych ciosów lub w falach zimnego jeziora, tajemnicze znikanie arcyksiążąt, śmierć księżniczki żywcem spalonej — i wreszcie hekatomba już skończona, brak więcej ofiar!

Okrutna lista, wypisana przez wymierzającą sprawiedliwość, historję! Bezapelacyjne wyroki losu! A dla dopełnienia miary nieszczęść, ostatni z Habsburgów, Otto, pretendent do tronu austrjackiego, oczekujący w opustoszałym pałacu w pobliżu Brukseli, by nowe czasy zmieniły ten zbyt surowy werdykt. Czy wie on o tym, iż jego stryjeczna babka, oddalona zaledwie o parę mil od niego, zapadła na zdrowiu? Nie, lepiej niech nie wspomina tych odległych czasów, które pogrążyły się w przeszłość wraz z cesarstwem, przeznaczonym dla niego. A dla zacieśnienia fatalistycznego kręgu los zrządził, by właśnie w Brukseli zetknęły się resztki cesarstwa Meksykańskiego, Austrjacko-Węgierskiego i Francuskiego!

Dni biegły; cesarzowa Karolina powraca zwolna do zdrowia. Ma już teraz 87 lat i z nadchodzącą wiosną nabiera nowych sił do życia. Przysłuchuje się uważnie rozmowom, prowadzonym przez jej otoczenie, lecz nie odzywa się ani słowem. I życie płynie dalej zwykłym trybem. W ciągu pół wieku Karolina nie przekroczyła bramy swego parku. Od lat krąży wokół swego przeznaczenia i uparcie unika śmierci, trwając jak symbol wiecznego potępienia. Mało się o niej mówi na świecie, za życia odeszła już w zapomnienie, a gdy Nowy Rok 1927 zgromadza w pałacu Bouchout jej najbliższych, zdumione spojrzenia zdają się pytać jak długo jeszcze ta widmowa postać będzie ciągnęła taczkę życia? Czy fatalna siódemka i tym razem niesie jakąś złą wróżbę? Pół wieku cierpień, żalów, wyrzutów! Pół wieku wydarzeń tragicznych, krwawych, bolesnych! Pół wieku poświęcenia, abnegacji, milczenia wśród tych wszystkich, którzy tworzą dwór cesarzowej!

18 stycznia 1927 roku z nadejściem wczesnego zmierzchu głęboka cisza zalega pałac; cesarzowa, zmęczona i bardzo osłabiona, zasypia. Nagle jakiś dziwny odgłos zakłóca spokój. Wszystkim się wydało, iż ktoś pokryjomu wszedł do wielkiego salonu, w którym stały jeszcze starodawne kanapy, kryte czerwonym pluszem. Przerażone damy dworu nie mają odwagi zejść na dół. Wezwana straż pałacowa obchodzi z pochodnią olbrzymie puste sale. Za oknami zimny wiatr smaga ciemności. Po wejściu do hallu, skonstatowano, iż od statuy Małgorzaty Bouchout, fundatorki pałacu, odpadła głowa i potoczywszy się po kamiennej posadzce, rozprysła się na drobne kawałki. Na starym kominku pozostała już tylko postać bez głowy.

Karolina zwolna gaśnie. Tętno jej bije nierównym rytmem. Czy pod przymkniętymi oczami widzi jeszcze swój czarodziejski świat? Czy słyszy wciąż jeszcze głosy przeszłości?

Nazajutrz Karolina, cesarzowa Meksyku, ostatnia cesarzowa świata, cicho zasypia snem wiecznym. Minister sprawiedliwości rządu belgijskiego osobiście stwierdza zgon. W alejach parku snują się nieznane postacie. Nowa generacja dowiaduje się o śmierci tej zapomnianej przez wszystkich cesarzowej. Młodzież nie wiedziała nawet o tym, iż żyła ona jeszcze. Gazety rozpisują się o niezwykłej przygodzie meksykańskiej, zakończonej okropnym dramatem. W Meysse dzwonią dzwony kościelne. Zmrok ściele welon ciemności w opustoszałym parku. Nie ma już Cesarstwa Meksykańskiego w Bouchout. Duchy indyjskie odeszły wraz z Karoliną. Żegnajcie Chapultepec i stuletnie cedry, i jeziora Xochimilco! Pośród szkieletów starych kasztanów pozostała już tylko zniszczona stara rezydencja i smutny staw, porośnięty trzciną.

Bruksela rzuca krwawą łunę swych świateł na ciemne niebo. Gazety wydały nadzwyczajne dodatki. Płoną latarnie, otoczone kirem, budzą się dawno zapomniane wspomnienia przeszłości. Gdy żałobna wiadomość dochodzi do Wiednia, republikanie nie wiedzą nawet, iż śmierć zabrała tę, która w radosnym triumfie przybyła do ich stolicy w 1857 roku. Karolina umarła w 60 lat po Maksymiljanie, a ciała ich tak okrutnie rozdzielone za życia, nie mogą się połączyć w śmierci. Wielka miłość, która powinna była je złączyć, pozostała bezsilna wobec protokółu, a raczej wobec smutnej rzeczywistości. Karolina zbyt dużo wycierpiała na ziemi austrjackiej, by do niej powrócić, choćby do krypty Kapucynów. Zbyt dużo wycierpiała, by móc żądać tej ostatniej parady przed grobowcem z brązu. Skromne i dostojne musi być zakończenie tego tragicznego życia.

W dniu, w którym cesarzowa zamknęła oczy na zawsze, burmistrz miasteczka Meysse, wydał odezwę do mieszkańców:

„Obywatele! Jej cesarska Mość cesarzowa Karolina zmarła w czwartek 19 stycznia o godzinie 7 rano. Mieszkańcy Meysse, idąc za głosem serca, włożą żałobę po tej, która przez 50 lat była opatrznością gminy i dadzą w ten sposób dowód swych wiernych uczuć dla Jej Cesarskiej Mości."

W sobotę 22 stycznia mroźny, zimowy dzień okrył park lodowatym płaszczem. Polarna noc unieruchomiła normalny bieg rzeczy. Wskutek uciążliwej gołoledzi drogi stały się prawie niemożliwe do przebycia, tak jak gdyby sama natura sprzeciwiała się tej ostatniej podróży. Cesarzowa Karolina, zamknięta przez długie lata w zaczarowanej krainie, opuszcza swe cesarstwo. Konie, ślizgając się na obmarzłej drodze, ruszyły do Meysse. Zasmuceni mieszkańcy miasteczka stali na progach swych domostw, kreśląc znaki krzyża. Mała kawiarenka „Pod trzema strzałami" była zamknięta. Kilka osób w żałobie kroczyło za karawanem. W kościele w Laeken zostały odprawione ostatnie modły i szczątki doczesne cesarzowej Meksyku złożono w krypcie obok jej matki, królowej Ludwiki, z dala od zimnych brązów wiedeńskiej krypty Kapucynów. Karolina odnalazła wreszcie swą rodzinę w krypcie brabanckiej, którą odwiedza po raz ostatni ze swym nowopoślubionym małżonkiem Maksymiljanem w roku 1857.

U stóp królewskiego grobowca stał w smutnej zadumie delegat armii francuskiej; był to potomek Karoliny, tajemniczy syn, którego Opatrzność ocaliła w Miramar, by uczynić zeń narzędzie sprawiedliwych wyroków. Francuski generał, niedoszły cesarz Austrji, obalił swe imperium, by pomścić znieważoną matkę, której nie danym mu było znać.

Po drugiej stronie oceanu, wnuczka cesarzowej Elżbiety, urodzona z nieprawego dziecka z Sassetot, wstąpiła, dzięki swej urodzie na pozłacany tron Hollywoodu. Zniszczona dynastia odzyskała swą chwałę przez piękność ciała i moc ducha.

Zapomniany dziedzic Cesarstwa Meksykańskiego, kryjąc łzy, usunął się w cień, nie chcąc być przez nikogo poznany. Jego ból i jego wielkość należą tylko do niego. Syn Maksymiliana sam stał się sędzią swych krzywd, przypuszczalny wnuk Napoleona Wielkiego pomścił krzywdę księcia Reichstadtu. Wielki generał, w sercu którego drzemały tajemne zaklęcia Meksyku, powrócił do Paryża, wstrząśnięty ostatnim pożegnaniem z duchami przeszłości.

W kilka lat później, Elisa Landi, cioteczna wnuczka Karoliny, stała się przez chwilę królową w złudnym świecie filmu „Koenigsmark", wskrzeszając wspomnienie uroczej i romantycznej postaci swej babki, pięknej amazonki podstępnie zasztyletowanej.

W muzeum wojska, w oddziale meksykańskim, znajduje się marmurowe popiersie cesarzowej Karoliny z czasów jej promiennej młodości. W każdą rocznicę śmierci tej, którą los tak okrutnie dotknął, jakaś nieznana zawoalowana dama składa przed statuą wiązankę fiołków.

Kim jest ta tajemnicza postać, której nikt nie zna? Czyje tkliwe serce kieruje tą czułą dłonią? Dlaczego te same fiołki co na grobie Napoleona II w krypcie Kapucynów? Czyja to serdeczna intencja łączy w czci i żalu te dwie tragiczne postacie?

W kilka lat po śmierci cesarzowej Karoliny chciałem rozwiązać tą niepokojącą zagadkę. Starałem się poznać tajemniczą osobę, lecz gdy ujrzałem zawoalowaną damę ze skromnym bukietem fiołków, pachnących meksykańską wiosną, nie miałem odwagi zbliżyć się do niej. Ostatnie wspomnienie najbardziej tragicznego życia przeszło obok mnie jak widmo przeszłości, unosząc w nieprzeniknioną noc swą pasjonującą tajemnicę. Niech ostatnie zwidy tego niepojętego dramatu żyją w spokoju!

KONIEC.

LUCYNA ROKOMYSKA 6)

Biały Płomień

Na ziemię zeszła noc. Czas rzucał w przestrzeń godzinę za godziną — a Luta siedziała na tym samym miejscu, gdzie ją zostawił Andrzej.

Pielęgniarka po bezowocnym namawianiu jej, by się położyła — odeszła. Zapanowała wokoło senna cisza.

Luta siedzi z otwartymi szeroko oczami, które patrzą tak, jakby ujrzały przed sobą przepaść...

Andrzej nie kochał cię nigdy — mówi jej zimny, bezlitosny rozum. — Działałaś na niego maleńką, uroku pełną postacią — przepysznymi oczami i twarzą opromienioną przedziwnie wdzięcznym uśmiechem. — Duszą twoją Andrzej nie interesował się nigdy. Nawet nie lubił, gdyś zaczynała mówić poważnie. — Chcę przy tobie wytchnienia, radości, a nie poważnych, męczących rozpraw — przerywał ci zawsze wtedy.

Z początku buntowałaś się... ale z czasem przecięłaś robić tylko to, co się jemu podobało. — Szłaś drogą, którą ci wyznaczył, nie myśląc już o niczym prócz tego, żeby on był szczęśliwy...

Pamiętasz? Był czas, kiedy śniły ci się noc po nocy — maleńkie, ciepłe rączyny własnego dziecka, oplatające ci szyję... błądzące po twarzy najsłodszą z pieszczot... Raz jedyny wspomniałaś o tym — nie chciał słuchać. Zauważyłaś przy tym, że sprawiłaś mu przykrość, — więc nigdy już więcej nie wszczęłaś takiej rozmowy. — Pamiętasz jego dalekie, obojętne oczy, gdy syty pieszczot twoich odjeżdżał? — Miłość — inna jest wtedy...

— A jednak — przez sześć lat prawie — miałam niebo w duszy.... — broni się Luta.

Tak, bo umiałaś nad swoim życiem rozpiąć tęczę w przecudnych kolorach... Umiałaś złe przetłumaczyć na dobre... I umiałaś wszystko przebaczyć.

— A oczy jego, gdy przyjeżdżał? — tyle w nich było radości... — próbuje jeszcze serce przekonać rozum.

A to spojrzenie dzisiaj? Czy to miłość tak patrzy?

Luta przymyka powieki, spod których lecą łzy...

Płyną godziny otulone ciszą.

ROZDZIAŁ XXII.

Nazajutrz, gdy Andrzej o zwykłej porze zapukał do jej drzwi — wstała i poszła mu naprzeciw. Nie było już lęku w jej oczach. Spokojnie wyciągnęła rękę na powitanie, którą Andrzej ucałował poważnie — pytając, jak się czuje.

— O, lepiej dzisiaj, a z czasem będzie jeszcze lepiej... — odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Nie rozumieli się znów: on pytał o zdrowie ciała — ona mówiła o zdrowiu dużo ważniejszym: o zdrowiu duszy.

Usiedli przy otwartym oknie z widokiem na szpitalny park. Po wysypanej żwirem ścieżce popychał pielęgniarz fotel na kółkach z siedzącym w nim młodym człowiekiem.

Gruźlica kości — opowiadała niedawno Lucie „Schwester Fryda". Przebywa tu już od pół roku. Teraz mu trochę lepiej, przechadza się czasem o kulach. Ale niech pani pomyśli... podobno już od paru lat jest tak skuty ze swoim fotelem...

Albo ta młoda panna, którą prowadzi tam, między drzewami pielęgniarka — jest chora na oczy. Z dnia na dzień mniej widzi... I podobno nie da się uratować jej wzroku...

— Czyż to, co mnie spotkało — nie jest błahostką w porównaniu z takim okrucieństwem losu? — myśli Luta.

— Tylko kto wie, czy ta dziewczyna, ginąca tam, za drzewami — snuje się myśl dalej — nie jest szczęśliwsza teraz ode mnie? — Bo oto, najdroższy mi w świecie człowiek, jest przy mnie tak blisko, że słyszę jego oddech — a jednak tak daleko, że nie mogę ramionami opasać mu szyi, — nie mogę podać ust do pocałunku, jak dawniej... I nie mogę powiedzieć, że pragnę nad wszystko w tej chwili, aby mnie utuliły jego ramiona...

Oczy Luty zachodzą łzami.

Andrzej nie widzi tego jednak; siedzi zapatrzony w okno tak, jak i ona, z dwoma głębokimi zmarszczkami na czole.

Pragnienie w sercu Luty gaśnie. Twarz staje się znowu spokojna, dziwnie martwa.

Milczą jeszcze przez chwilę — po czym Luta zaczyna pierwsza:

— Chciałabym już iść stąd; wszak to ostatnie dni sierpnia. — Czas wracać do domu.

— Dobrze, Luto. — Andrzej podniósł się natychmiast. — Idę więc wszystko załatwić — i zaraz wracam.

— — — — — —

W dwa dni później wracali do Polski.

Luta wtulona w kąt wagonu, śledziła mroczną smugą oczu przelatujące widoki.

Wraz z lecącymi ku niej coraz to innymi obrazami — nadlatywały jeszcze całkiem świeże wspomnienia:

O, w tym miejscu był pociąg, gdy uczuła delikatny pocałunek Andrzeja, złożony na jej włosach... Stał za nią z dłońmi położonymi na jej rękach leżących na spuszczonym oknie.

A tu — odbierał ją z rąk jakiegoś siwego pana, na którego wpadła lecąc do drugiego okna za piękniejszym widokiem... Przepraszał go za nią, a ją, Lutę, karcił spojrzeniem, które na próżno starało się być surowym...

Tu mówił: I cudna ty jesteś Lutko...

Idą majestatycznie w tył masywy gór. — Jeszcze parę skalistych, poszarpanych szczytów — — — i poza oknem poczynają falować góry porosłe lasem — szmaty zielonych pól...

Luta opiera głowę o bok wagonu i zamyka oczy:

— Żeby to już być w domu... Na własnej ziemi i w domu... Tęskno jej już za spokojnymi dniami w domku otoczonym ze wszystkich stron owocowym sadem... Za matką... Za wieczorami tylko z nią spędzanymi...

Andrzej jest dla niej bardzo dobry; troszczy się o nią co chwilę. — Oto teraz, myśląc, że będzie spała — okrywa ją delikatnie szalem.

Luta nie myśli jednak o śnie. Patrzy spod przymkniętych powiek na męża:

— Boże, jaki on piękny — myśli — i jaki mi nad wszystko drogi...

Przypomina sobie, jak w ten dzień, w którym usłyszała pierwsze miłosne słowa od niego — uklękłszy do wieczornego pacierza, z prostą, dziecinną wiarą, oddała go w opiekę swego Anioła-stróża... Mówiła już po tym zawsze — nie, jak w dzieciństwie: — „ty zawsze przy mnie stój" — tylko: „ty zawsze przy nim stój"...

— Teraz nie wiem, co będzie — płynie myśl dalej. — Ale jedno wiem niezbicie, że nie potrafię go przestać kochać... i że wybaczę mu wszystko cokolwiek uczyni ze mną...

ROZDZIAŁ XXIII.

Basi i Pity nie było już w domu, gdy Luta przyjechała. Po skończonych urlopach wróciły do pracy.

Gdy zeskoczyła z bryczki i pani Ciembronowiczowa wzięła ją bez słowa w objęcia — rozpłakała się serdecznie.

Matka wiedziała już z listów o wszystkim, więc nie pytała o nic. Gładziła tylko dłońmi wątłe ramiona córki, szepcąc zmienionym ze wzruszenia głosem:

— No, cicho dziecko... cicho... Wszystko minie — uspokoisz się... i będzie nam znowu dobrze... No, nie płacz... O, patrz! Athos chce się też przywitać! Macha biedactwo ogonem — zachodzi z tej i z tej strony, a ty nic...

Luta podnosi głowę — uśmiecha się do dobrych oczu matki. A potem pochyla się ku wiernej, psiej głowie, darząc ją pieszczotą. Athos poszczekuje radośnie i liże raz po raz głaszczące go ręce.

Tak. Tu w domu będzie jej najlepiej. Weźmie się zaraz do zwykłej pracy — poczną ją absorbować codzienne małe troski i radości domowe.

Popłynie czas...

A po tym, cokolwiek jej los przyniesie — nie będzie pokrzywdzona! Miała dużo radości w życiu... mniejsza z tym skąd pochodzącej — czy z jej własnej duszy, czy od Andrzeja...

Szły dni za dniami, monotonne — podobne jedne do drugich.

Jesień wysypawszy ze złotego rogu obfitości dary, które przyniosła — odeszła. — Jeszcze snuły się tu i ówdzie po rżyskach i młodziutkich oziminach ślady jej srebrnej szaty. — Jeszcze co noc rosa nizała na nie swe kropelki wierząc naiwnie, że rano jasne słońce odbije w nich złote blaski... Niestety! — Zamiast słońca — skradał się w każdy ranek mroźny, północny wiew i zamieniał śliczne kropelki rosy na siwy szron.

Drzewa odarte z zielonej szaty liści, stały ciche, poddające się pokornie przeznaczeniu... Wiedziały zresztą, że zło nigdy nie trwa wiecznie. Że świeża wiosna odzieje znowu ich nagie gałęzie i tchnie taki sam, jak zawsze, choć nowy, muzyczny poszum w trzepot zielonych liści...

Przed tym jednak musi objąć władztwo nad ziemią — zima.

Przyjdzie, obieli pola i dachy domów — nasadzi śmieszne czapy na krzaczki agrestu w sadach; lasy ustroi w śnieżną, puszystą okiść... a w długą, zda się niemającą końca noc — będzie haftować mrozem przedziwne kwiaty na szybach okien...

Będą dni, w których słońce będzie krzesało brylantowe lśnienia na białych drogach... i dni smutne, sypiące śniegiem — lub zawodzące wiatrem w bezlistnych konarach drzew i w ciepłych, dymiących kominach...

Będą noce długie, obtulone szczelnie kirem i noce podwójnie jasne od miesięcznej poświaty złączonej z niepokalaną bielą dróg i pól...

*

Dźwięk dzwonków przy jadących po niedalekiej drodze saniach, przywodzi Lucie na myśl niedawną bytność Andrzeja.

Od dnia, w którym pożegnała go na dworcu krakowskim, wracając z Szwajcarii do domu — widziała się z nim trzy razy dopiero.

Niby wszystko było tak, jak dawniej — a jednak inaczej... Bowiem Luta po otrzymaniu wieści od męża, że przyjedzie, zamiast odczuć radość jak dawniej, odczuwała



W Bednarach koło Łowicza odbyło się w tych dniach poświęcenie pomnika-kaplicy ku czci poległych w r. 1914 Legionistów I. Brygady. W uroczystości wzięły udział tłumy miejscowej ludności.

strach... Bała się, by nie zobaczyć w tych kochanych oczach takiego samego spojrzenia, jak tam w Szwajcarii... I bała się tej męki, jaką teraz zawsze czuła przy nim...

Teraz nie śmiała tak, jak dawniej — lecieć na „wyprzódki" z Athosem ku furtce, przy której zeskakiwała z bryczki wysoka, piękna postać męża... Nie śmiała, jak dawniej, poskoczyć z powitaniem, owinąć szyję rękami i podać usta gorące, jak żar, do pocałunku...

Bała się wydać śmieszną, więc z twarzą martwą, bez najmniejszego uśmiechu — podawała mu tylko rękę na powitanie.

A potem, gdy odjeżdżał — padała twarzą na barwne poduszki otomany — i płakała rozpacznie... długo... bo nie wiedziała, czy wtedy, gdy ona mogła się przemóc i być taką, jak w dawnych, cudnych chwilach, nie byłby i Andrzej ten dawny... a nie taki jak teraz: przygnębiony i smutny.

— Ale ja nie umiem już być inną... — nie umiem... — skarżyła się z jękiem.

— — — — — — — —

Teraz za ostatniej bytności Andrzeja — było odrobinę lepiej.

Zawiadomił ją, że przyjedzie wieczornym pociągiem -- tymczasem przyjechał rano

Stała w kuchni nad jakąś robotą — gdy posłyszała znajome kroki w sieni. — Odwróciła się i — gdy stanął w drzwiach — wyciągnęła do niego radosnym, ślicznym ruchem obie ręce. — Wnet jednak, jakby się wstydząc tego ruchu — opuściła je z powrotem, a wielkie, bolesne łzy zabłysły w oczach...

A Andrzej?

Andrzej podbiegł do niej i otoczywszy ją ramieniem — powiedział najpierw cicho, jakby do siebie:

— Biedne dziecko...

A potem drugą ręką podniósł jej w górę twarz i patrząc w mroczne od łez oczy — rzekł z prośbą w głosie:

— Luto — bądź zawsze taka, jak przed chwilą, to może...

Zawahał się.

— To może będzie nam znów dobrze z sobą... — dokończył.

Gdy odjeżdżał na drugi dzień — odprowadziła go tylko do furtki. Na stację nie chciała jechać.

— Taką mi przykrość robią ludzkie oczy — tłumaczyła mu cicho.

Nie nalegał.

A po tym, gdy ucałował jej ręce i chmurą smutku okryte czoło, gdy sanki ruszyły — stała i patrzyła dopóki nie zginęły na zakręcie. Wtedy spuściła oczy na świeże koleiny, a uchem łowiła zamierający w dali dźwięk dzwonków w uprzęży końskiej...

ROZDZIAŁ XXIV.

Tak przeszły dwie zimy i dwa lata.

Basia Ciembronowiczówna starając się o przeniesienie z Kresów w bliższe strony — dostała posadę na Podhalu, trafem w tej samej, górskiej wioseczce, w której Luta wzięła ślub z Andrzejem Velli.

Luta uważała to za niezmiernie dobrą wróżbę dla siebie. — Poczęła sobie układać, że na lato pojadą tam znów z Andrzejem — i może przecież powrócą dawne chwile...

Bo teraz, choć ona była trochę weselsza, choć starała się być dawną Lutą dla męża... — to jednak daleko jeszcze było do szczęścia...

Andrzej był ciągle jakiś nieswój... Przyjeżdżał nawet dość często, ale był zawsze krótko, nie odzywał się wiele... i zauważyła, że wtedy, gdy nie patrzy na niego — spogląda na nią uparcie.

Raz w takiej chwili podeszła do niego — usiadła blisko i pogładziwszy pieszczotliwym ruchem jego rękę leżącą na stole — powiedziała:

— Andrzeju — widzę, że jakaś troska cię gnębi — nie zwierzysz mi jej?

A gdy milczał — dodała:

— Zrobiłabym wszystko... aby tylko tobie było dobrze...

Odwrócił się — popatrzył w jej oczy, długo, głęboko — następnie ucałował małą, wąską dłoń leżącą na swojej ręce... ale nie odrzekł nic...

— — — — — — — —

Minęło parę miesięcy.

Na ziemi gościła znów zima.

W duszy Luty od jakiegoś czasu począł wibrować niepokój. — Czuła podświadomie, że zbliża się ku niej coś wrogiego...

Czyżby tylko samotność tak na nią działała? Bo już od dwóch tygodni Luta była sama w domu. Pani Ciembronowiczowa zaraz po świętach Bożego Narodzenia pojechała do Basi na parę tygodni.



Marszałek Śmigły Rydz w chwili oddawania swego głosu do urny wyborczej.

Dzisiaj na przykład — nie może sobie Luta miejsca znaleźć... Czytała chwilę gazetę, ale co moment łapała się na tym, że nic nie rozumie...

Teraz podeszła do okna i patrzy, jak lecą pędzone wiatrem, to w tę, to w ową stronę — płateczki śnieżne...

Straszna pogoda dzisiaj; wiatr i tak duży, wzmaga się jeszcze ciągle. Czasem przez szyby prawie nic nie widać: to wicher nabrawszy w garście śniegu — przemienia go siłą rzutu w mgławy tuman.

Przez podwójne okna nie słychać, jak żalą się drzewa, ale widać, jak posłuszne przemożnej sile gną swe gałęzie na wszystkie strony.

Luta odchodzi od okna i siada przy ciepłym piecu. Pies, jedyny towarzysz teraz — przytula głowę do jej kolan, prosząc o pieszczotę. Mała, wąska dłoń podnosi się machinalnie i głaszcze powoli, długi łeb i jedwabiste uszy.

Ciemne oczy Luty — zapatrzone w żar ognia — są smutne... Raz po raz jawią się w nich niespokojne błyski...

— Coś mnie dzisiaj spotka... — szepcą w pewnej chwili usta — coś niedobrego mnie spotka...

Rodzą się i umierają minuty... Chwile...

W ciszę wplata się tylko głos zegara...

— Coś niedobrego mnie spotka... — powtarzają jeszcze raz usta kobiety.

Nagle... Athos podniósł głowę i począł nadsłuchiwać...

Drgnęła.

— Czyżby kto szedł? — Nie słychać nic... Ależ tak, idzie ktoś — bo Athos wysunąwszy się spod jej ręki pobiegł ku drzwiom nadsłuchując dalej. — O, a teraz — obróciwszy głowę w jej stronę, szczeknął parę razy radośnie, jakby jej coś tłumaczył...

W tej chwili przesłoniła okno jakaś wysoka, ciemna postać.

— Andrzej! — krzyknęła Luta, biegnąc do drzwi.

— O, drogi! Jakże się cieszę! — mówiła wpuszczając go do sieni i zamykając za nim drzwi wchodowe.

— I jak przeczucia mylą... — kończyła po wejściu do pokoju. — Pomyśl, od samego rana zdawało mi się... że mnie dziś coś złego spotka!' A tymczasem — taka miła, radosna niespodzianka...

Podeszła do niego całkiem blisko i wziąwszy w dłonie końce ciepłego szala, którego jeszcze nie zdjął z szyi — i przytuliła je do ust...

Popatrzył na nią dziwnie...

— Kocham cię, Andreo... — szepnęła, jakby się usprawiedliwiając z tego, co zrobiła.

Nie odpowiedział nic, tylko objąwszy ją delikatnie ramieniem, podprowadził do krzesła. Sam ukląkł przy niej.

Luta teraz dopiero zauważyła, że Andrzej jest straszliwie blady — i że od czasu jak tu wszedł nie rzekł jeszcze ani jednego słowa.

I dlaczego, mój Boże, — tak uporczywie, tak bez drgnienia powiek, wpatruje się w jej twarz teraz? — Wie przecież, że jej to przykrość sprawia.

Luta stara się przez chwilę dotrzymać wzroku mężowi, ale niedługo opuszcza głowę na piersi, zgnębiona.

— Luto... Luto, przyszedłem cię pożegnać...

Luta podnosi twarz białą jak papier:

— Przyszedłeś się... Andrzeju, mówisz... że przyszedłeś się...

— Luto, znam twoje serce... wiem, że mnie winić nie będziesz... Może powrócę kiedyś... ale teraz muszę jechać...

Umilkł. — Czekał może na jakie słowo z jej strony. — Nie powiedziała nic. Siedziała bez ruchu.

— Wiem, że to okrutne z mej strony — ale... dwa lata się zmagałem.. — urwał, nie kończąc zdania.

Luta drgnęła... Nad prześlicznymi oczyma brwi ściągnęły się boleśnie...

— Luto, nie wiń mnie... — powtórzył. — Czyż możemy odpowiadać za to, co się mimo naszej woli dzieje? — Zmieniłaś się fizycznie i moralnie — a ja... — zawahał się.

— A ty kochałeś tamtą Lutę — śliczną i zawsze roześmianą — dokończyła bezbrzeżnie smutnym głosem.

Nie zaprzeczył. Pochylił tylko nisko głowę i położył usta na ręce leżącej na sukni.

— Muszę już iść, Luteńko. Bądź zdrowa. — Dziękuję ci za wszystko...

Luta otwarła raz i drugi usta chcąc coś przemówić... Nie mogła. — Wyciągnęła tylko ręce i splotła je mocno, rozpacznie na jego szyi... Oczy suche, płonące, jak dwa ognie — poczęły chłonąć drogą twarz.. Przeczuwały, że jej już nie zobaczą nigdy, więc całowały umiłowane rysy... brały w siebie... pieściły...

— Luto... Luteńko... powrócę pewnie, będę pisał...

— Nie wrócisz... — rzuciła z jękiem.

Rozplótł prawie gwałtownie zaciśnięte ręce na swojej szyi — ucałował je kilkakrotnie — wstał i począł się prędko ubierać.

Podniosła się również. Wodziła za nim oczyma pełnymi miłości i niewypowiedzianej męki...

— ..Już ubrany — — Już pójdzie — — Nie, jeszcze szalika nie zawiązał. — Może zapomniał? A taki mróz dzisiaj — i wiatr do szpiku kości przejmujący...

Luta podchodzi do męża, podnosi ręce i poczyna troskliwie otulać mu szyję...

— Już, — mówi nieswoim głosem.

— Tak... Żegnaj Luto!..

Uczuła lekki pocałunek na swoim czole. Po czym drzwi otworzyły się i Andrzej wyszedł.

Nie ruszyła się z miejsca — nie zawołała za nim, choć dziesiątki słów rwało się z serca do niego — tylko ręce zacisnęła w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało...

Szybkie kroki w sieni, potem stuk odsuwanej zasuwy w drzwiach.

I znów za chwilę drugi stuk — cichszy: stuk zamykanej furtki...

Luta nagłym ruchem wznosi zaciśnięte dłonie ku ustom, które otwarły się w tej chwili, jakby do strasznego krzyku...

Mrok począł się słać po kątach pokoju.

W okna biły wciąż niesione szalonym wichrem tumany śniegu.

ROZDZIAŁ XXV.

A po tym — te pierwsze straszne dni i noce... A nade wszystko ta jedna — najpierwsza i najstraszniejsza.

Pamięta: całowała zimny metal klamki, gdzie tak niedawno była ręka Andrzeja i modliła się krzykiem duszy, rozpiętej na krzyżu męki, aby straciła rozum...

Przeszło jednak wszystko. — I te noce, po większej części przepłakane — i dni bolesne radosnymi dawniej wspomnieniami.

Wiosna zstąpiła na ziemię, a od Andrzeja nie było żadnej wieści. Zresztą Luta nie pragnęła tego. — Poco? I tak by nie wróciła do niego. — Tak, jak nie wyszła za nim w ten ostatni dzień, choć serce przemożnie pragnęło tego.

O, tak... gdyby wówczas usłuchała serca, byłaby żebrała o uczucie... byłaby błagała, by podarował jej jeszcze bodaj jeden dzień... jednę godzinę... Duma wstrzymała ją. I dobrze się stało. — Ma przynajmniej, tę bolesną wprawdzie satysfakcję, ale zawsze satysfakcję, że postąpiła tak, jak trzeba... Że nie prosiła...

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET

Jak zużytkować stare futra



Każda z pań jest na ogół w posiadaniu, czy to całego, podniszczonego i niemodnego płaszcza futrzanego, czy różnych resztek futer, które leżą dobrze zakonserwowane w specjalnych, zimowych pudłach, skrzyniach i cierpliwie oczekują chwili, w której zechce właścicielka przypomnieć je sobie i uznać ich aktualną na zimę pożyteczność.

A pożyteczne mogą być ogromnie, zwłaszcza w tym roku, który jest rokiem specjalnie faworyzującym najprzeróżniejsze warianty futrzarskich kreacyj.

Futro nigdy nie królowało tak wszechwładnie i nie miało tak szerokiego zastosowania, jakie ma w obecnym sezonie późno-jesiennym i zbliżającym się zimowym.

Modne są futra najrozmaitszych krojów i fasonów, od luźno opadających siedem-ósmych poprzez obcisłe, ściśle dostosowane do figury płaszcze, do obcisłych kurtek, kamizelek oraz prostych lub fantazyjnych małych pelerynek, albo nawet całych długich, o prostym fasonie — peleryn. Te ostatnie mają z przodu podłużne przecięcia na ręce i kołnierze kształtu kielicha.

Największe jednak zastosowanie znajdzie futro jako przybranie. Futerkiem zdobić odtąd będziemy nie tylko kołnierze, mankiety i kieszonki zimowych kostiumów i palt, ale także rewersy, paski, zarękawki, mankiety rękawiczek, kapelusze. Nawet torebki i szaliki wykonywać będziemy z futra, a górę zamszowych spotowych bucików, przybierzemy futrem, dostosowanym do całości kostiumu.

Wróciły też do łask dawne rosyjskie futrzane czapki, wykonane z krymskich baranków i karakułów. Ba, dziś są już modne berety-kapelusiki, wykonane z futer płaskich, nota bene wcale dobrze się prezentujące na zgrabdnych główkach pań.

Wobec takiej wszechstronności używalnej, że tak powiem, futer, jaka wyłoniła się w modzie obecnej, każda pani winna sięgnąć do arsenału wrodzonej sobie pomysłowości i zabrać się do zużytkowania wszelkich posiadanych futer, choćby to były tylko rozpaczliwe ich szczątki, w postaci najmniejszych kawałków i skrawków.

Dziś z kawałków futer, zwłaszcza płaskich, możemy wyczarować prawdziwe kreacje modniarskie, naturalnie w połączeniu z materiałem.

I tak, płaskie futro breitszwancowe, pocięte w wąskie pasy wspaniale przybierze czarny płaszcz zimowy, gdy te pasy naszyjemy z przodu wzdłuż zapięcia, dalej, jako (tak obecnie modne), szamerowanie i wypustki, również wzdłuż zapięcia. Jeżeli tego samego futra nie starczy na szycie całej czapeczki (model podaję) to starczy, że przybierzemy kapelusz wąskim paskiem tegoż futra. Taki sam paseczek naszyjemy na mankiety rękawiczek, a ponadto przybierzemy kilkoma ukośnymi paseczkami wierzch zarękawka, uszytego materiału płaszcza i całość gotowa. Będzie to nawet efektowna całość!

Przypuśćmy jednak, że Pani ma już inne futro lub płaszcz i nie będzie sobie szyła drugiego, a kawałki futra jak leżały jej w szafie, tak leżą!

Tym lepiej — zużyjemy je na obrzeżenie kamizelki, która mocno przyda nam się do biura, a nawet wcale dobrze będzie wyglądała w godzinach popołudniowych, jeśli tylko uszyjemy ją z miękkiej wełny. (Model załączam.)

Z płaskiego futra możemy też z powodzeniem uszyć sobie szalik i czapeczkę do sportowego kostiumu. Tu nadmienić mogę, że szaliki futrzane coraz bardziej wypierają dawne wełniane.

Ogromnie en vogue są też przeróżne aplikacje na sukniach i kostiumach, które wykonuje się dosłownie ze skrawków futer płaskich.

Z podniszczonego palta źrebakowego możemy zrobić kurtkę i ozdobić ją szerokim, zamszowym paskiem oraz kilkoma metalowymi guzami, które efektownie będą odbijały od jednostajnego tła kurtki.

Z reszty wykonamy kamizelkę bez rękawów, całą futrzaną, do sukienki wełnianej z długimi rękawami. Model może być podobny do tego, który podaję przy niniejszym artykule, lub też zupełnie sportowy, taki, jaki mają wszystkie kamizelki damskie, noszone do zimowych kompletów podróżnych.

Z futer płaskich, jak cielaki, źrebce, łapki karakułowe, krety, breitszwance, robi się już dziś nie tylko kurtki, kamizelki, czapki, wszelkiego rodzaju aplikacje na dwuczęściowych sukienkach, ale nawet całe spódniczki. Te ostatnie wyglądają jednak nieco ekstrawagancko i mają jeszcze tę niedodatnią cechę, że pogrubiają.

Wytworny płaszcz zimowy z jasnej wełny. Mały kołnierzyk, ściśle przylegający, wzdłuż zapięcia biegnie futrzany brzeg, szerokie mankiety i kieszenie z tych samych lśniących fok.



Sportowy kostium, przybrany popielatym barankiem.
Brązowy komplet, przybrany brązowymi bibretami.
Sportowa kurtka futrzana i czapeczka, wykonana z tego samego co kurtka.
Kamizelka z czarnej wełny, ładnie przybrana futrem krecim lub fokowym.



Czarny popołudniowy płaszcz, bogato przybrany karakułami. Futrzana czapeczka dopełnia całości.

Przedstawiłam pokrótce możliwości wykorzystania futer płaskich, a zostaje jeszcze do rozwiązania zagadnienie, co zrobić np. ze starego lisa, który, należąc do futer niesłychanie trwałych, ma tę jedną wadę, że bardzo łatwo potrafi się „opatrzeć“, jak to określają często panie. Myślę nie o cennych lisach srebrnych i białych, lecz o zwykłym rudym, pochodzenia krajowego i kaukaskiego.

Jak panie już zapewne zauważyły, w bieżącym sezonie śladem mody zagranicznej i u nas przyjęły się kostiumy zimowe z przeznaczeniem na godziny zarówno popołudniowe, jak i przedpołudniowe.

Te to kostiumy z reguły przybrane są bogato futrem, przeważnie długowłosym. I tu nasz spostponowany rudy lis znajdzie wdzięczne pole do odegrania swej przegranej stawki, do wspaniałego umocnienia dawnej świetnej pozycji w zmiennych łaskach jego właścicielki.

Dziś przy kostiumach popołudniowych, wykonanych z grubego sukna, doskonałej wełny, lub aksamitu, żakiet przeważnie obramowany jest wzdłuż zapięcia i u dołu szerokim pasem małpiego lub lisiego futra. Nierzadko też dół lekko skloszowanej spódniczki bywa obrzeżony tej samej szerokości pasem futrzanym.

Ponieważ małpie futra, jakkolwiek są obecnie ogromnie modne, nie należą do bardzo dostępnych ze względu na wygórowane ceny, przeto pozostają nam do wykorzystania raczej lisy.

Wytwornie będzie się prezentował kostium popłudniowy z miękkiej zielonej wełny, suto przybrany pasami lisa kaukaskiego.

Ten sam kostium w kolorze niebieskim przepięknie uzupełni nasz krajowy lis — rudzielec.

Gdy na kapelusik w kolorze kostiumu nałożymy jeszcze duży pompon z tego samego futra, uzyskamy całość godną paryskich domów mody.

A wszystko dzięki pomysłowości i odrobinie dobrej woli.

Mirania Galińska.



Modne są eleganckie kapelusze - berety, wykonane z futer płaskich









Modele z góry na dół:

V 33 397 Ładny kołnierz w formie pelerynki, z futra lub imitacji.

V 33 396 Trzyczęściowy garnitur futrzany, składający się z krawata, czapeczki i mufki - torebki.

V 33 398 Młodociany kołnierz futrzany; jako uzupełnienie zarękawek i czapeczka.

V 33 395 Sportowy płaszczyk wygląda ładnie, jeśli się go przybierze futrem lub pluszem w sposób widoczny na rycinie.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji po 80 groszy za sztukę.



Obcisła kurtka źrebakowa. Za ozdobę służą duże metalowe guziki i szeroki zamszowy pasek z klamrą.



Zgrabna czapeczka zimowa, przybrana resztkami karakułów

WINCENTY BOGUSŁAW SZCZECH.

U kresu

(Nowela)

Dnieje.

Szary dzień, jak życie ludzkie, wstaje nad miastem. Z gęstych chmur przylepionych do niebieskiego stropu, mży drobny deszcz. Monotonnie dzwoni o szyby okien, drobniutkimi kropelkami znaczy się na asfaltowej jezdni. Miasto śpi jeszcze. Jest cicho, tylko od czasu do czasu przesunie się konna dorożka lub jakiś samochód.

Mały drewniany kiosk, który jak karzeł przylgnął do potężnej kamienicy, ożywia się. Za oknem widać twarz kobiety, szarą, pomarszczoną o smutnych oczach. Drobne, wychudłe ręce, sortują czasopisma.

Minuty szybko mijają jedna za drugą, niosąc ze sobą coraz to inne życie, zagadkowe, pełne czaru lub zawodów i klęsk. Miasto ożywia się, ludzie nieustanną falangą, jak te minuty, płyną z czasem, nie zatrzymując się ani na moment.

Kto upada, ten dalej nie idzie, tak, jak ta minuta, co właśnie minęła. Dobiegła kresu i należy już do przeszłości. Reszta idzie dalej, niosąc ze sobą radość życia lub nędzę.

— — — — — — —

Przed budką z gazetami snują się coraz to inne twarze. Stare, młode i dziecięce, okraszone uśmiechem, wykrzywione bólem, lub bez wyrazu.

Dzień coraz szybciej idzie naprzód, coraz szybciej mkną taksówki po mokrym, lśniącym bruku, rozpędzone tramwaje coraz gwałtowniej dzwonią...

Ktoś nie zdążył przebiec, pośliznął się, upadł...

Zgrzyt hamulców, krzyk rozpaczy... A potem z przeraźliwym świstem zajeżdża karetka pogotowia, białe kitle, nosze, trzask zamykanych drzwiczek i smutny, wżerający się do mózgu sygnał — to znów jedna minuta minęła.

A pozostali pędzą dalej, nie zatrzymując się, i tak jak przedtem, mkną samochody, tramwaje i falanga ludzi.

— — — — — — —

Wśród pól jest cicho, tylko metalowe druty telefoniczne dzwonią głucho, a po nich, niby błyskawice, przebiegają słowa dobre i złe.

Podnoszą się słuchawki.

— Halo?...

Odpowiada dziki rechot... twarz blednie... oczy uciekają w głąb czaszki, a pobladłe usta szepcą jak automat:

— Spadły akcje... grozi ruina...

Niewidzialna ręka powoli kładzie słuchawkę na widełki... a potem?... huk strzału... i znów minuta minęła.

— — — — — — —

Czas płynie równo, niosąc do kresu życia minuty.

Przed smutnemi oczami gazeciarki, przelewają się różnobarwne tłumy — tak jak myśli w jej głowie.

Zdaje jej się, że lada chwila z tej rzeszy ludzkiej wynurzy się znajoma postać. Oczyma duszy widzi ją, jest przy niej — dobry kochany mąż. Idą razem, barwną ulicą, szczęśliwi. Po dużych, marmurowych schodach wchodzą do domu. Na progu wita ich maleństwo z uśmiechniętą buzią o oczach modrych, jak bławatki — ...

Nagle twarz wykrzywia spazm bólu, dusza nie chce biec dalej za myślami, a one wloką ją za sobą — na dawno przeżytą golgotę życiową. Smutne obrazy powoli przesuwają się w mózgu, ryjąc w sercu coraz to głębszą ranę.

Widzi, jak zmarznięte grudki ziemi, z głuchym łoskotem padają na trumnę, kryjącą w sobie drogie zwłoki.

Majątek ginie w rękach złych ludzi. W niebieskich oczach jej dzieciny zakwita nędza. Wypieszczone, białe ręce imają się pracy.

Najpierw modystką, później ekspedientką, a potem... przechodzi całe piekło życia, aż w końcu zostają gazety i ta drewniana, ciasna budka.

Jedna wilgotna izba w suterynach, gdzie zawsze czuć gnijące kartoflę i zepsutą kapustę, zastępuje dawne mieszkanie z marmurowymi schodami.

Nieraz bunt targa jej duszą, skotłowane myśli pędzą po tkankach mózgu:

— Pocóż tyle cierpień, tyle upokorzeń... dla kogo?

Lecz wtedy wystarczy jedno spojrzenie, coraz głębiej zapadających się oczu dzieciny — i życie znów płynie dalej...

— — — — — — —

Zapada mrok.

W sklepach, poza dużymi oknami wystawowymi, błyszczy jasne światło, ulica tętni życiem. Czerwone ślepia reflektorów samochodowych liżą błyszczącą toń asfaltu, ożyły białe klosze lamp ulicznych. Z dachów i fasad domów krzyczą jaskrawymi kolorami reklamy świetlne. Zgiełk barw i świateł miesza się z sobą i długimi smugami pada na rozhukaną jezdnię. Ryk syren samochodowych miesza się wespół z muzyką kawiarnianą i ginie gdzieś, w ciemnych zaułkach.

Gazeciarka, wsparta na łokciach, trwa w bezruchu, szklanym wzrokiem wodzi po tłustym nagłówku gazety, rozpierzchłe myśli nie skupiają się. A oczy uparcie wsączają do mózgu zatrute słowa: „Straszny wypadek przy ul. Dzikiej...“ — i znów to samo, powoli, każdą sylabę z osobna.

Naraz błysnęła myśl, twarz drgnęła, oczy nerwowo biegną po drobnych rządkach, huczy coś w mózgu i mknie jak nawałnica. „Rusztowanie osunęło się, przygniatając małoletnią...“

Dość, dość... oczy odrywają się od brudnej szmaty, patrzą tępo w dal, w głowie tylko huczy, krzyczy coś, zapalają się jakieś światła i gasną i znów to samo — coraz szybciej, szybciej!...

Wstaje, usta wykrzywiają się konwulsyjnie, z krtani wydziera się jakieś słowo.

— Chryst... i ciało z głuchym łoskotem upada na ziemię.

I znowu jedna minuta minęła — już jest u kresu, a życie równo toczy się dalej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

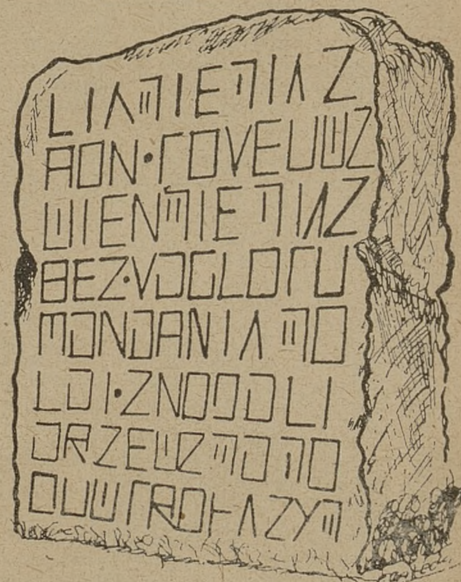
P. Władysław Zygmunt. Nowela Pana pt. „Ostatnie akordy“ ma interesujący temat i dobre momenty, ale w całości jest szereg niedociągnięć. Głównie szwankuje forma, a ponadto zaznacza się ubóstwo określeń i słowa. Nie skorzystamy. Pozdrawiam Pana przyjaznym uściskiem dłoni.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ŁAMIGŁÓWKA

ul. F. Gałecki

Odczytać napisane szyfrem nazwiska dwóch pisarzy i dwóch pisarek polskich oraz tytuły ich dzieł. Pod każdym nazwiskiem tytuł dzieła. Klucz jest bardzo łatwy, po uważnym przypatrzeniu spostrzec można niektóre litery alfabetu. Każda litera szyfru odpowiada swojemu znakowi. Kropki między słowami znaczą koniec wyrazu.



KWADRAT MAGICZNY

ul. L. Kiełpiński.



Znaleźć 5 wyrazów, czytanych poziomo i pionowo, o znaczeniu: 1) zespół sportowy 2) jar 3) imię żeńskie 4) miasto polskie 5) nominacja in.

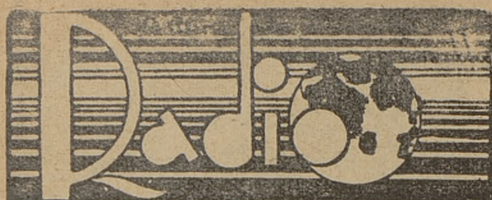
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 25 listopada br.

Rozwiązania zadań z nr. 45 „Moich Pow.“ I. Logogryf wirowy: Rada wielu, zguba celu. II. Szarada: Korowód.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Ligocki Wiesław — Warszawa, Czyżewski Zygmunt — Poznań, Barcikowski Edward. — Poznań, Müller Jan — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Ligockiemu z Warszawy i Czyżowskiemu z Poznania.



Niedziela, dnia 20 listopada 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 W 20-tą rocznicę obrony Lwowa: nabożeństwo z kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej we Lwowie oraz transmisje i reportaże z uroczystości 11.45 Audycje oświatowe w programach radiowych omówi prof. Henryk Mościcki 12.03 Poranek muzyczny z Krakowa 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa z Poznania 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Strofy klasyczne" — poemat muzyczny R. Hahna 17.00 Słuchowisko: „Słońce nad morzem" 17.30 Koncert żołnierski ze Lwowa 19.30 Melodie z filmów dźwiękowych (płyty) 21.20 Lekka muzyka fortepianowa w wyk. J. Kropiwnickiego 21.40 „Nasza wielka słabość" — audycja słowno-muzyczna 22.20 Muzyka taneczna z Wilna.

Poniedziałek, dnia 21 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 „Haydn" — audcja muzyczna dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Listopadowy dzień" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Recital fortepianowy Zbigniewa Grzybowskiego 17.00 O promieniach radu i Roentgena — odczyt 17.15 „Opowieść o Bachu" — I-sza audycja 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Piosenka lwowska w biegu lat dziejowych 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy z Krakowa 21.00 Przemówienie Min. Poczt i Telegrafów inż. E. Kalińskiego 21.10 Recital śpiewaczy Ady Sari 22.00 „Dzieje symfonii" — audycja muzyczna.

Wtorek, dnia 22 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść mówiona dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.25 Pieśni Stanisława Niewiadomskiego 16.45 Z pamiętników obrońców Lwowa — recytacje 17.00 Audycja śląsko-lwowska z okazji przyjazdu do Lwowa 3000 Ślązaków 17.30 Z pieśnią po kraju 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Transmisja koncertu Stow. Miłośników Dawnej Muzyki 22.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego 22.15 Koncert z okazji 20-lecia obrony Lwowa.

Środa, dnia 23 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Koncert popularny 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.30 Muzyka skandynawska 17.00 „Polska a wojna okupantów w pierwszych dniach niepodległości" — odczyt 17.15 Kantata J. S. Bacha (dramat na urodziny Augusta III) 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: Czy naprawdę w zdrowym ciele zdrowy duch? 19.00 Odgłosy Italii — koncert rozrywkowy 21.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego 22.00 „Napój miłosny" — opera Donizettiego.

Czwartek, dnia 24 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.25 Koncert orkiestry dętej 12.03 Audycja południowa 15.00 „Rozmowa technika z młodzieżą" 15.15 Audycja p.t. „Pechowy dzień" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.15 „Przemysł a obrona kraju" — odczyt dla młodzieży 16.35 Debussy: Rapsodia na saksofon i orkiestrę 17.00 Koncert muzyki operowej 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 „Kordian" — fragment z dramatu Słowackiego 22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 25 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkol 11.25 Dawne tańce — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla młodzieży 15.35 Muzyka obiadowa 16.30 Muzyka klasyczna z Krakowa 16.55 „Starzy i młodzi" — fel. Kaden-Bandrowskiego 17.05 Popularna muzyka fortepianowa na 4 ręce 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Wypędzenie okupantów z Krakowa w listopadzie 1918 r. — fragm. książki Rusinka 18.55 Koncert rozrywkowy 21.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego 21.15 Koncert z Filharmonii Warszawskiej z udziałem Zino Francescati 22.30 „Poezja wieku złotego."

Sobota, dnia 26 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Utwory Eryka Coatesa 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci: „Jak Wojtuś został czarownikiem" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.30 Koncert solistów z Wilna 17.10 Koncert kameralny z Krakowa 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.20 Kapela ludowa Dzierżanowskiego z udz. Szczepańskiej 20.00 Muzyka lekka w wyk. sekstetu Rachonia 21.00 Potańczmy — koncert 22.05 „Godzina niespodzianek" 23.15 Muzyka taneczna.



WŚRÓD RYBAKÓW

— Wczoraj złowiłem olbrzymiego szczupaka. Jak myślisz, ile on ważył?

— Hm... połowę.

NIESPODZIANKA

— Nie wiem, w jaki sposób zrobić narzeczonemu niespodziankę.

— Poślij mu swoją metrykę.

PROTEST

Do znanego adwokata wpada zadyszany klient:

— Panie mecenasie! Jutro przypada termin płatności weksla, który wystawiłem, a ja nie mam pieniędzy, żeby zapłacić! Co tu robić! Słyszałem, że można protestować!...

BEZ WYBORU

Fatalna pogoda, leje ulewny deszcz, z domu nie chce się wytknąć nosa. Panna Zosia nudzi się śmiertelnie. Ziewa raz po raz, wreszcie mówi, przeciągając się:

— Wiesz, Stachu. Dziś tylko można wypełnić czas dwiema rozrywkami. No, ale do brydża brak nam przecież partnerów...

JESZCZE NIE

— Słyszeliście, towarzyszu, podobno Fiedor Iwanowicz został rozstrzelany?

— Jeszcze nie, ale już został mianowany komisarzem!

MIĘDZY TEŚCIOWYMI

Dwie starsze panie rozmawiają na temat swych zięciów.

— Mój zięć jest dla mnie wyjątkowo dobry — powiada pierwsza pani. — Gdy, na przykład na kolację mamy grzybki, a on nie jest pewny, czy nie ma wśród nich trujących, to wpierw nie tknie łyżki, póki ja nie zjem całego talerzyka.

— To mój jest lepszy... — odpowiada druga. — W zeszłym tygodniu odbyliśmy razem podróż samolotem... W zamkniętej kajucie było bardzo duszno i zrobiło mi się słabo. Co robi mój uprzejmy zięć? Bierze mnie czule pod ramię i proponuje: „Może mama trochę wyjdzie na świeże powietrze?"...

IMPERTYNENCJA

— Powiedz Janku, dlaczego jesteś dzisiaj taki zdenerwowany?

— Bo jako dziennikarz mam tyle kłopotów.

— Czy spotkało cię coś przykrego?

— Osądź sam. Zredagowałem ankietę p. t. „Dlaczego dziewczęta zamykają oczy, gdy się je całuje?" I oto otrzymałem pierwszą odpowiedź następującą: „Proszę posłać mi swoją fotografię, a odpowiem trafnie!".

U SWATA

— Mam tu jeszcze jedną pannę z kompletnym urządzeniem pięciu pokoi.

— Ale może jest brzydka i nie będzie mi się podobała?

— Co znaczy, podobała? Jak się ma pięć pokoi, to można się nie widzieć całe życie!...

ŻONUSIA

— Wiesz, moja żona jest jak Wenus z Milo.

— Taka zgrabna?

— Nie, ale cały dzień nic nie robi, jakby nie miała rąk!

SŁUCH

Pastor odwiedza jednego ze swych parafian, starego farmera Pata O'Keya głuchego jak pień i z zadowoleniem stwierdza, że Pat ma już akustyczną trąbkę, którą mu już od dawna zalecał.

— Brawo, Pat! — woła pastor, — Widzę, że masz już nareszcie tę trąbkę, którą od pięciu lat radziłem ci kupić!

— Ach, więc o tym mówiliście mi, wielebny ojcze, przez te pięć lat?

W SĄDZIE

— Więc oskarżony dał dwa razy w twarz pokrzywdzonemu? Czy oskarżony może jeszcze coś dodać?

— Dopiero jak stąd wyjdziemy, to mu dodam, Wysoki Sądzie.

ZEMSTA JEST SŁODKA

— Panno Izo, czy pani mogłaby się nauczyć kochać mnie na przykład?

— Nie, panie Władysławie, to się nie da zrobić.

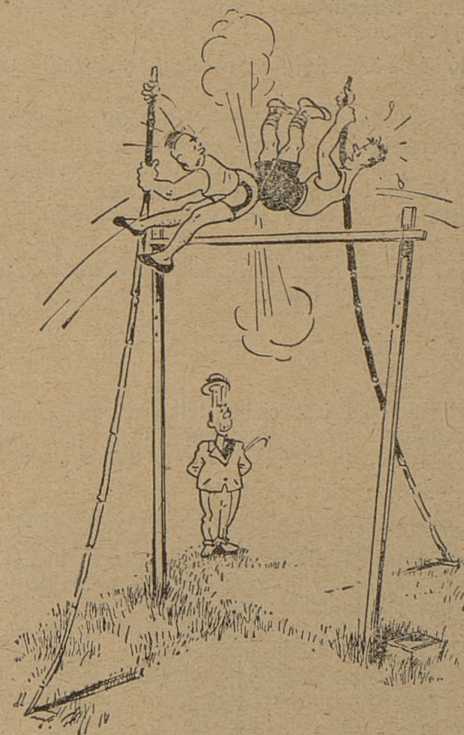
— Tak też myślałem, że pani jest za stara, by móc się jeszcze uczyć.

GROŹBA

Żona: Jeśli mi nie kupisz nowego płaszcza, nie zobaczysz mnie więcej!

Mąż: Porzucisz mnie?

Żona: Nie, wydrapię ci oczy.



Fatalne skutki nieuwagi sędziego Chrabąszcza.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P K O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.